WTOREK

O polskich śladach w Rumunii przeczytasz na str. 4–7

ŚWIAT MŁODYCH

HARCERSKA GAZETA NASTOLATKÓW

NR 132 2 LISTOPADA 1976 R CENA 1,50 ZŁ

„Skrzydlate statki"

[WAR]SZAWA (PAP). Kolej[nym et]apem unowocześniania [polskie]go przemysłu okręto[wego j]est rozpoczęcie w szcze[cińskiej] Stoczni im. A. Warskie[go budo]wy „skrzydlatych stat[ków". S]krzydła – w przeciwień[stwie d]o samolotowych – będą ruchome i na przykład w momencie zbliżania się do nabrzeża będą automatycznie chowane w podwodnej części kadłuba. Ten dodatkowy element konstrukcyjny zapewni znacznie większą stabilność przy pokonywaniu wysokiej fali. Ważną zaletą nowych jednostek będzie ich duża szybkość – do 25 węzłów. Skrzydlate statki pływać będą na długich trasach – do Australii i portów Dalekiego Wschodu przewożąc kontenery, samochody, a także ładunki płynne. (mh)

Górnicy w podziemiach KRAKOWA

[KR]AKÓW (PAP). W początkach października [roz]poczęto wielką operację ratowania zabytkowych kamieniczek Krakowa. Pod ziemię zeszli [gór]nicy z Przedsiębiorstwa Budowy Kopalń w Bytomiu. Przed nimi ogromna praca: [prze]ciwdziałać będą osiadaniu gruntu, na którym stoją bezcenne budowle starego grodu. Pro[jekt] tej niezwykłej akcji ratunkowej został przy[goto]wany przez prof. dr inż. Zbigniewa Strzeleckiego z Akademii Górniczo-Hutniczej. (mh)

KSIĄŻĘ ALEKSANDER nad Lodowym Pobojowiskiem

MOSKWA (PAP). Na wyspie Sigowiec nad Jeziorem Czudzkim powstaje wielki kopiec, na szczycie którego wzniesiony zostanie pomnik Aleksandra Newskiego. 40-metrowej wysokości rzeźba przedstawiająca grupę konnych rycerzy upamiętni miejsce wielkiego zwycięstwa w roku 1242 nad rycerstwem Zakonu Kawalerów Mieczowych. Bitwa rozegrana została na zamarzniętym jeziorze, które do dziś nazywane jest Lodowym Pobojowiskiem. (mh)

Co słychać u pionierów w NRD?

ŚWIĘTO PRZYJAŹNI

[W] Szkole Podstawowej [im.] Heinricha Heinego [w mi]ejscowości Salzwedel [dział]a od wielu już lat Pio[niers]ki Klub Międzynaro[dowe]j Przyjaźni. Tradycją [klub]u jest organizowane [corocz]nie tzw. Święto [Przy]jaźni, a jednym z jego [eleme]ntów konkurs znajo[mośc]i języka rosyjskiego. [Człon]kowie klubu wycho[dzą] bowiem z założenia, że [naj]lepszy sposób mówić o mię[dzyn]arodowej przyjaźni [to] prowadzenia ożywio[nej] korespondencji z rówieśnikami z zagranicy, a ta z kolei niemożliwa byłaby bez znajomości języków obcych. Postawili więc przed sobą zadanie – każdy członek klubu zna doskonale język rosyjski i stara się uczyć jeszcze jednego języka obcego. Nie trzeba dodawać, że działalność klubu oraz perspektywa udziału w dorocznym konkursie językowym spowodowała, że w szkole tej z języka rosyjskiego wszyscy mają doskonałe stopnie. (ek)

POCZTA W STYLU RETRO

BYDGOSZCZ (PAP). Na ścianach, stropach i drzwiach piękne płaskorzeźby wykonane na wzór XIX-wiecznej sztuki ludowej regionu kujawskiego. Telefony... z korbką i dzwonkami, autentyczne lampy naftowe, tygielki spirytusowe do lakowania wartościowych przesyłek. Wszystkie te przedmioty o wartości muzealnej zgromadzone zostały w jednym z budynków we wsi Szymborze. Nie jest to jednak muzeum, a... jedyna w kraju, urządzona jak dawniej, poczta regionalna. Ta unikalna placówka powstała z inicjatywy inowrocławskiego oddziału PTTK i społecznego komitetu obchodów pięćdziesiątej rocznicy śmierci Jana Kasprowicza. Szymborze, to rodzinna wieś wielkiego piewcy regionu kujawskiego. (mh)

W KTÓRĄ STRONĘ?

WARSZAWA (CAF-[IP]). Na frankfurckich [targ]ach samochodo[wy]ch do najatrakcyjniej[szy]ch eksponatów nale[żał] dwukierunkowy Ci[troë]n 2 CV – „najbrzyd[szy] i najbardziej lubiany samochód świata. [M]odel, mogący niewąt[pliw]ie wprowadzić nieco [zamie]szania na jezdni, [jeździ] z pełną szybkością [w oby]dwu kierunkach – do [przo]du lub do tyłu!

Fot. archiwum

ŻYCIE DLA SIATKÓWKI

Polscy siatkarze od wielu, wielu lat zaliczani byli do czołowych zespołów świata. Odnosili liczące się sukcesy w licznych turniejach, w spotkaniach towarzyskich, niejednokrotnie zwyciężali nawet najbardziej utytułowanych przeciwników – zespoły Związku Radzieckiego, Japonii, Czechosłowacji, Niemieckiej Republiki Demokratycznej. Niestety – w turniejach oficjalnych, na których rozdzielano tytuły i medale, takich jak mistrzostwa Europy, świata i igrzyska olimpijskie, naszym zawodnikom nie wiodło się najlepiej. Jedyny medal brązowy zdobyty na mistrzostwach Europy w odległym 1967 roku, piąte miejsce – na igrzyskach w Meksyku oraz dalekie, ósme – na olimpiadzie w Monachium w żadnej mierze nie zaspokajały ambicji i nie odzwierciedlały możliwości polskich siatkarzy.

DOKOŃCZENIE NA STR. 3

Polska Akademia Nauk

Najwyższa instytucja naukowa PRL. 25 lat temu w roku 1951 powołana została do życia uchwałą sejmową na wniosek delegatów I Kongresu Nauki Polskiej. Powstając, Akademia przejęła i połączyła dorobek naukowy, istniejącej w Krakowie Polskiej Akademii Umiejętności i Warszawskiego Towarzystwa Naukowego. PAN jest organizacją uczonych, którzy stają się jej członkami drogą wyborów. Jest ich obecnie 363, w tym 84 członków zagranicznych. Jednocześnie Akademia jest instytucją państwową i do jej zadań należy przedstawienie rządowi planów badań naukowych. W tym celu powołano tzw. komitety i komisje naukowe, skupiające uczonych i praktyków, przedstawicieli różnych resortów, instytucji naukowych, organizacji społecznych i gospodarczych. Pełnią one funkcje doradcze – wydają opinie, przeprowadzają ekspertyzy, pomagając w wytyczaniu kierunków najróżniejszych reform w naszym życiu społecznym i gospodarczym, które podejmują i realizują władze państwowe.

PAN dzieli się na 6 wydziałów: I – Nauk Społecznych, II – Nauk Biologicznych, III – Nauk Matematyczno-Fizycznych, Chemicznych i Geologiczno-Geograficznych, IV – Nauk Technicznych, V – Nauk Rolniczych i Leśnych, VI – Nauk Medycznych. Dysponują one 72 ośrodkami badawczymi, w których pracuje, zajmując się najróżniejszymi problemami naukowymi, 3807 specjalistów – 339 spośród nich jest profesorami. W tych instytutach, zakładach i pracowniach zainstalowano aparaturę badawczą o ogólnej wartości półtora miliarda złotych!

Siedzibą władz PAN jest warszawski Pałac Staszica, a od 1955 r. stał się nią również Pałac Kultury i Nauki. Ponadto Akademia utrzymuje oddziały terenowe w Krakowie, Wrocławiu, Poznaniu, Katowicach. Również i w innych miastach istnieją jej placówki m. in. w Łodzi i Gdańsku. W Rzymie i Paryżu zorganizowano tzw. stacje naukowe.

Polska Akademia Nauk opiekuje się kilkudziesięciu towarzystwami naukowymi m. in. Towarzystwem Miłośników Astronomii. Jego członkami mogą być również i uczniowie. Prowadzi tzw. Wszechnicę PAN, której zadaniem jest upowszechnianie osiągnięć polskiej myśli naukowej. W tym celu wydaje również, obok dzieł naukowych, cały szereg książek i czasopism, a jej głównym organem jest pismo pt. „Nauka Polska". (mh)

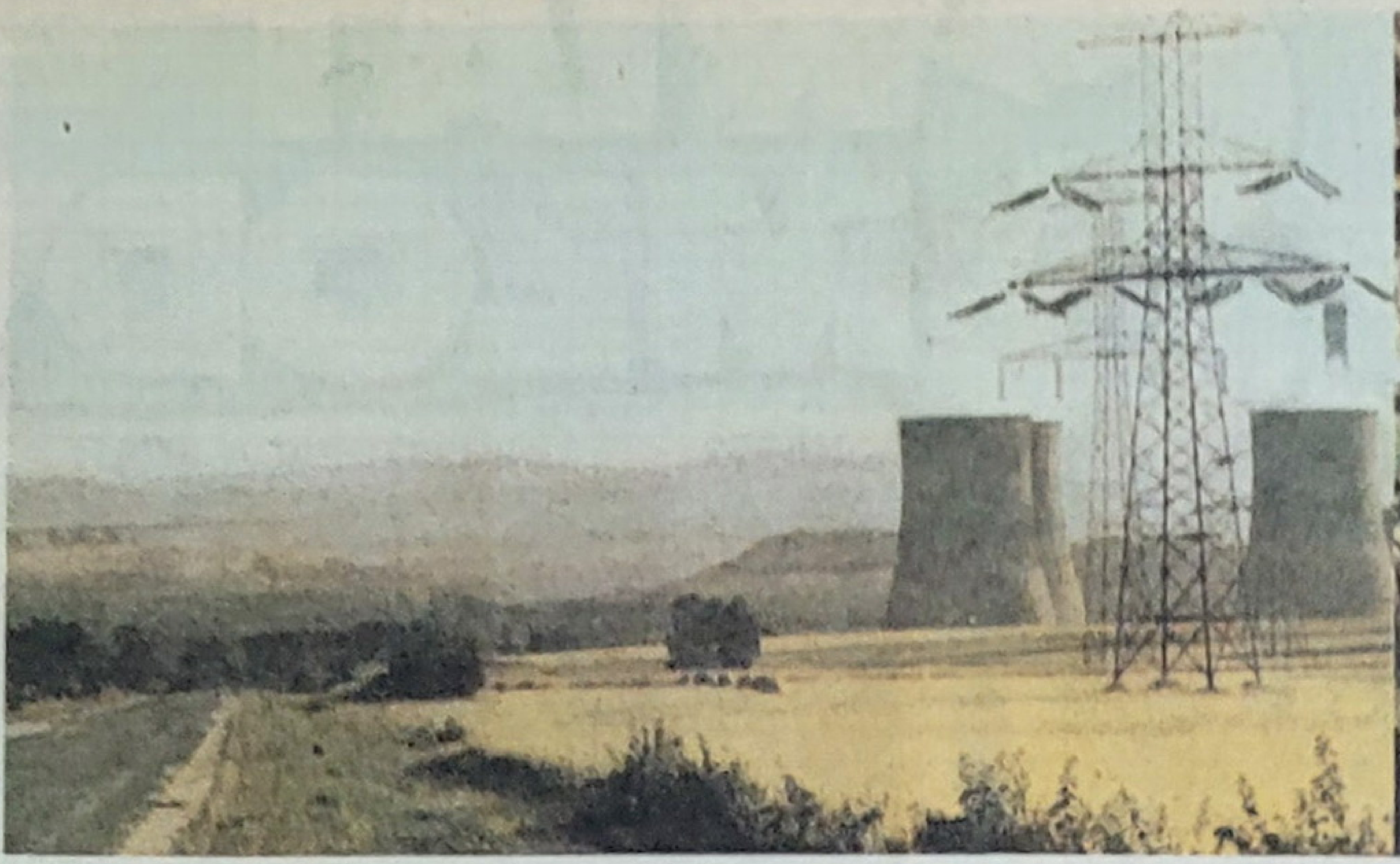

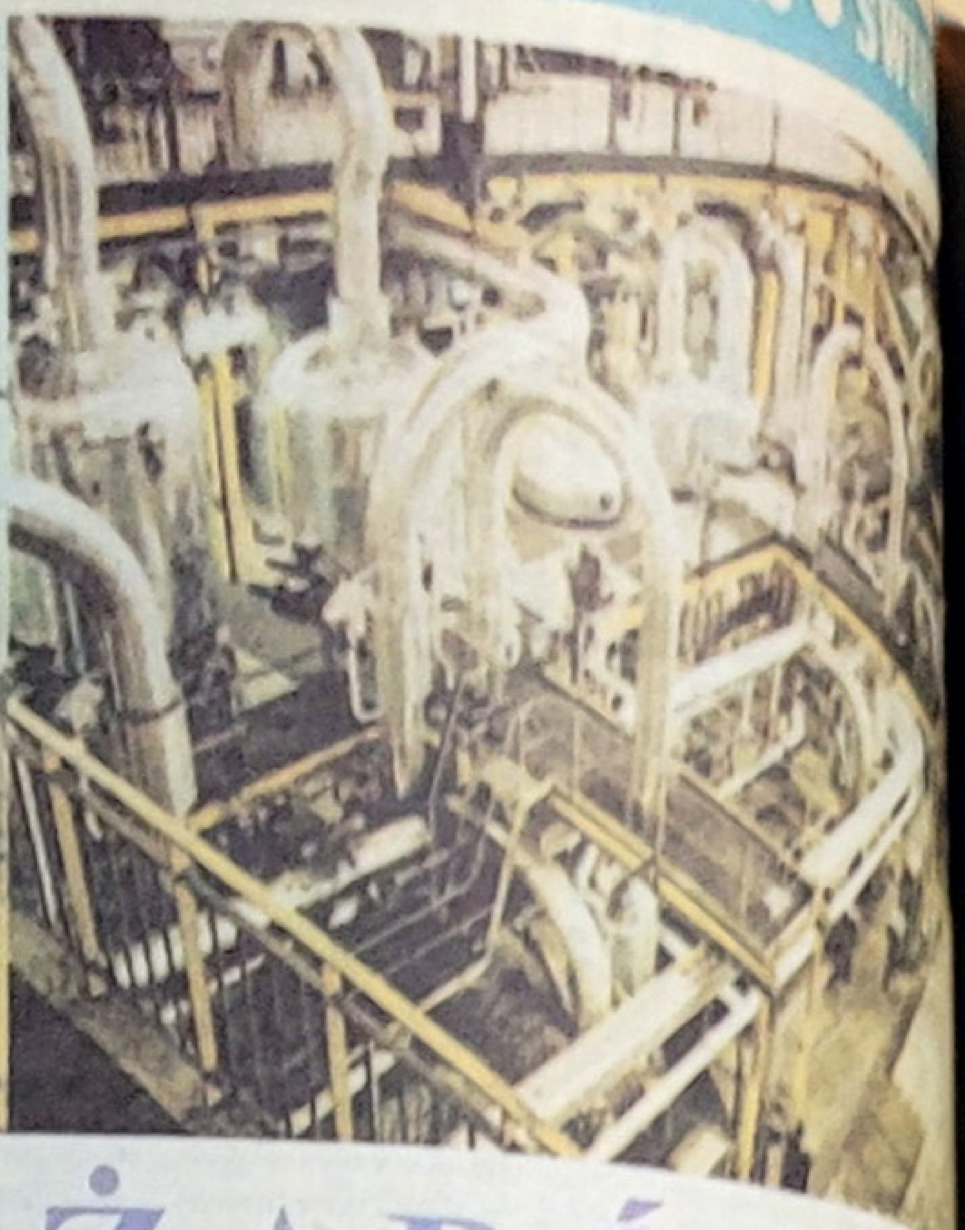

MEGAWATY I ŻARÓWK[I]

Niedawno w jednym z wieczornych programów telewizyjnych pokazano licznik elektryczny, po czym zachęcono telewidzów do wyłączenia w mieszkaniu choćby jednej żarówki. Za chwilę znów pokazano licznik. Okazało się, że dzięki temu prostemu zabiegowi zużycie energii gwałtownie spadło, co licznik zarejestrował. Gazety zachęcają do oszczędzania energii elektrycznej, zwłaszcza w godzinach szczytu. Wyłączane są częściowo oświetlenia uliczne na peryferiach miast.

Z drugiej strony istnieje powszechne przekonanie, że kraj nasz jest potentatem energetycznym, a w każdym razie krajem zasobnym w energię elektryczną.

Jak to więc jest w rzeczywistości?

Czy potencjał energetyczny jest mitem?

Polska jest obecnie jednym z poważniejszych wytwórców energii elektrycznej w świecie. W roku ubiegłym wyprodukowaliśmy jej przeszło 97 mld kilowatogodzin. Dało nam to 6 miejsce w Europie i 10 w świecie. Potencjał energetyczny wciąż rośnie. W tym roku zaplanowano dostarczenie odbiorcom 102 mld kWh, a ocena zapotrzebowania na prąd w I półroczu wykazała, że trzeba będzie wyprodukować dodatkowo jeszcze dwa miliardy. Rośnie więc zużycie energii elektrycznej. Dane statystyczne mówią, że w ostatnich 5 latach wzrosło rocznie średnio o 8,4 proc. Nie jest to mało, ale „apetyty" mamy znacznie większe. Trzeba więc co roku pomnażać moc krajową elektrowni. Jest to zadanie bardzo skomplikowane i niełatwe dla energetyki, która musi zapewnić dodatkowe moce produkcyjne. Górnictwo musi dostarczyć węgiel – główny surowiec dla elektrowni, a transport – ten surowiec musi przewieźć.

Dlaczego rośnie apetyt?

Odpowiedź na to pytanie wydawałaby się bardzo prosta: najwięcej energii pochłania przemysł, który, zwłaszcza w ostatnich latach, rozwija się bardzo dynamicznie. Wiele inwestycji gospodarczych budowanych w ubiegłej pięciolatce zostało oddanych do użytku w ostatnich miesiącach. Pochłaniają one energię, a zapotrzebowanie na nią nałożyło się na zwiększenie produkcji w zakładach już funkcjonujących.

Oprócz inwestycji wzrasta również budownictwo mieszkaniowe. A każde mieszkanie to nie tylko żarówki, ale również lodówki, pralki, odkurzacze, roboty kuchenne, telewizory, radia, magnetofony itp. Ludzie chcą żyć wygodniej, mają za co kupić, więc mechanizują swój sprzęt domowy. A potem naciska się jeden guzik – licznik w mieszkaniu obraca się prędzej, a tych mieszkań są miliony. A przecież energię pochłania także szybko postępująca elektryfikacja kolei, mechanizacja i unowocześnianie rolnictwa. Buduje się autostrady, które też są oświetlane, nowe miejskie osiedla. Słowem zużywamy prądu dużo i będziemy zużywać go jeszcze więcej, bo gospodarka „pogania" energetykę.

Energetyka nie osłabia tempa

Cel, jaki sobie postawił przemysł energetyczny – to osiągnięcie w 1980 r. 135 mld kWh, co oznacza przekazanie do eksploatacji w tym pięcioleciu ponad 9 tys. MW (megawatów) nowych mocy energetycznych. Buduje się nowe elektrownie: Dolna Odra, Jaworzno II, Rybnik II, Połaniec, Kozienice III. Wymaga to zainstalowania nowych urządzeń, bloków energetycznych o mocy 360 i 500 MW. „Pięćsetki" sprowadzane są ze Związku Radzieckiego i rozpoczną w najbliższych latach pracę w elektrowni Kozienice. Już teraz wznosi się elektrownię Bełchatów, którą uruchomi się w następnej pięciolatce. Moc jej stanowić będzie ponad jedną czwartą mocy, jakie dawały wszystkie krajowe elektrownie w 1974 roku. A więc będzie to elektrownia – gigant, jedna z największych w świecie. Przystąpiliśmy również do budowy pierwszej elektrowni jądrowej, którą lokalizujemy na Wybrzeżu Gdańskim.

Energetycy opracowali również program zmniejszenia strat energii przy jej przesyłaniu; straty te wynoszą obecnie około 10 proc. W przeciwieństwie bowiem do nowoczesnych elektrowni sieć przesyłowa jest na ogół przestarzała. Trzeba wybudować nowe linie, nowe stacje transformatorowe, nowe stacje rozdzielcze. W tym roku na rozbudowę i modernizację sieci przeznaczono około 3 mld złotych.

Potentat musi oszczędzać

Przypatrzmy się jak „zjadany" jest prąd w czasie doby. Zainstalowana maksymalna moc naszych krajowych elektrowni przekracza dziś 20 tys. megawatów. Jest to prawda, ale przy założeniu, że wszystkie urządzenia i turbiny będą pracowały. W praktyce jest to wartość mniejsza, bo trzeba brać pod uwagę np. remonty, konserwacje, a także stratę energii przy jej przesyłaniu. Jednego październikowego dnia o godzinie 4 rano cała Polska pobrała z elektrowni tylko 10 600 MW, gdyż w nocy i nad ranem zużywa się niewiele prądu – jest to tzw. dół energetyczny. O godzinie 8 rano, gdy zaczyna się gospodarzyć w domach i pracują już fabryki, zapotrzebowanie mocy wyniosło już 12 800 MW. Między godziną 15 a 16 następuje znów spadek, bo przestają pracować biura i zakłady jednozmianowe. Ale od godziny 19 następuje wieczorny szczyt. Zużyta moc o tej porze podniosła się do 15 000 MW.

W czasie doby zmieniają się także proporcje korzystających z prądu. W dzień przemysł pochłania około 73 proc., a mieszkańcy i gospodarka komunalna około 20 proc. W wieczornym szczycie zapotrzebowanie przemysłu spada do 50 proc., a w mieszkaniach i na ulicach miast rośnie aż do 40 proc. Dlatego wyłączenie każdej zbędnej żarówki w godzinach wieczornych może przynieść ulgę całemu systemowi energetycznemu.

Wszyscy musimy oszczędzać prąd, zakłady przemysłowe

również. W przemyśle [...]
dzono np. limitowanie [...]
energii. Jeżeli zakład [...]
czy ustaloną granicę [...]
dodatkowe kilowaty [...]
dziesięciokrotnie więc[...]
przykład gospodarki [...]
wy w Zakładach [...]
dowlanej we Wrocławiu [...]
wiadał mi dyrektor [...]
tego przedsiębiorstwa [...]
ganizowali w tym miesiącu [...]
dę pomysłów w zakresie [...]
czędzania energii. [...]
chowców przyjęło [...]
słów zgłoszonych [...]
cowników zakładu. [...]
z nich, jak wykazały [...]
obliczenia, zaoszczędzi [...]
dowi w okresie zimowym [...]
1200 kWh prądu na [...]
dzi po prostu o to, aby [...]
bardziej obciążał [...]
szyny i urządzenia [...]
zmianie, zamiast [...]
podczas tzw. dołu [...]
cznego.

I w tym miejscu [...]
do sedna sprawy. [...]
nasz jest potentatem [...]
cznym, musimy tak [...]
rzyć, zwłaszcza w [...]
okresie jesienno-zimowym [...]
produkowana energia [...]
korzystywana w [...]
nalny. Trzeba zlikwidować [...]
notrawstwo energii [...]
w przemyśle jak i w [...]
ulic, sklepów, a także [...]
i mieszkaniach [...]
A marnotrawstwem [...]
nie oświetleń ulicz[...]
jest jeszcze jasno [...]
wienie zapalonych [...]
w klasach, gdy [...]
szkołę.

Warto o tych [...]
wach pamiętać [...]
każdej dodatkowej [...]

MARZENA W[...]

Fot. [...]

Kasia wyjechała do Japonii

Do książek mam słabość szczególną. Lubię je czytać, ale to mi nie wystarcza. Wiele z nich chcę mieć na własność. Kupuję więc książki, czytam je, a potem wciskam na półkę i cieszę się samym faktem posiadania – możliwością powrotu do ulubionej lektury. Rzadko niestety mam na to czas. Ale wszystkie takie powroty sprawiają mi ogromną przyjemność. Są źródłem mnóstwa ciekawych refleksji dotyczących mojego rozwoju, zmiany gustu czy wreszcie nie zauważonych wcześniej wartości danej pozycji.

Pierwszą książkę kupiłem sobie za własne pracowicie uzbierane pieniądze w pierwszej czy drugiej klasie podstawówki. Był to chyba Koziołek Matołek. Od tego czasu minęło już ładne parę lat. Rozrosła się też moja domowa biblioteczka.

Każdy kto kiedykolwiek kupował książki, wie jak trudno jest dostać te, które w domu warto mieć. Ja jednak chodziłem po księgarniach, pytałem, prosiłem, zawierałem znajomości i zazwyczaj miałem co chciałem. Jak wiele pochłaniało to energii, nie trudno się domyśleć. W końcu doszło do tego, że w moim małym pokoju oprócz książek i mnie niewiele się już mieściło.

Były w moim życiu lektury, które przeżywałem bardziej niż cokolwiek innego. Wówczas mówiłem o nich znajomym, dzieliłem się refleksjami, chwaliłem, zachęcałem, pożyczałem...

No właśnie. POŻYCZAŁEM. Pożyczałem zazwyczaj te książki, które mi najbardziej przypadły do gustu, bo o nich mówiłem najchętniej i nimi chciałem się z wszystkimi podzielić. Pożyczałem więc, a potem niecierpliwie czekałem na zwrot. Czekałem, czekałem, czekałem i nawet się doczekałem czasem...

Tak się na ogół składało, że książki, które mnie się spodobały, odpowiadały też gustom innych. Po jakimś czasie, gdy prosiłem o zwrot mówiono mi, że książka jest, ale już u kogoś innego. Wacek pożyczył Jurkowi. Jurek – Małgorzacie, Małgorzata – Jackowi, Jacek – Andrzejowi... Andrzej twierdził, że książki nie dostał albo, że oddał ją Kaśce, która właśnie wyjechała na dwa lata do Japonii, więc jak wróci to mi na pewno odda.

Niektóre książki są zresztą szczególnie zagrożone przez „pożyczaczy". Są to z reguły pozycje wyjątkowo ciekawe i trudno dostępne, ukazujące się–w małych (na przekór logice) nakładach lub od lat nie wznawiane. Koneserzy „bibliofile" potrafią wyłowić je nawet w najlepiej zabezpieczonej bibliotece. Na dodatek zaś panie bibliotekarki chcąc się uchronić przed utratą książek po prostu ich nie pożyczają.

*Miałem kiedyś „Sztukę egzotyczną" Michała Sobieskiego. Dostałem [...]
Przeczytałem, pochwaliłem się [...]
dałem komuś do przeczytania [...]
widziałem. Podobnie rozstałem się [...]
nikami" Prusa, „Polską Jagiellonów" [...]
nicy, „Niebieską księgą" [...]
dziesięcioma innymi [...]
mi, z których wielu nie potrafię [...]
nić. Nie o to zresztą chodzi.*

*Chodzi o to, że wczoraj [...]
wi pożyczenia „Pamiętników [...]
Gaulle'a. Pierwszy raz w życiu [...]
a potem zrobiło mi się głupio [...]
jeszcze nic ode mnie nie [...]
ki..." były mu do czegoś potrzebne [...]
– Idź do czytelni stary [...]
zależy mi na tej książce.*

JACEK ZA[...]

*PS. Wszystkich, którzy pożyczali [...]
książki proszę o zwrot. Dziękuję [...]*

Niedzielny wieczór. Rozgwieżdżone niebo z wielką tarczą księżyca na pierwszym planie. Czas powrotu do domu tych, którzy pragnęli na łonie natury spędzić może już ostatnią w tym roku pogodną niedzielę. Autostrada E-16, jedna z głównych arterii łączących beskidzkie miejscowości wypoczynkowe z centrum Śląska szczelnie zapchana powracającymi z wycieczek i weekendów samochodami. Wielokilometrowe karawany syrenek, trabantów i fiatów błyskając różnokolorowymi światłami suną do Katowic, Sosnowca i Bytomia.

Na szybkościomierzach przeciętnie pięćdziesiątka. Nudna, monotonna jazda, podczas której leniwie nawijają się na koła kilometry szosy. Raz po raz ktoś nie wytrzymuje i gniewnie trąbiąc przepycha się w kolumnie. Bordowy fiat i biała dacia ryzykując drogową kolizję „przeskakują" pas ciągłej linii i rwą do przodu, a potem uciekając przed nadjeżdżającymi z przeciwka pojazdami wciskają się w luki, wolniej przesuwającego się strumienia samochodów.

Szybkość, ryzyko. Ryzyko, szybkość. Aż wreszcie na którymś z zakrętów daje się słyszeć gwałtowny pisk opon, ich zawodzące darcie o asfalt i w ułamek sekundy później – brzęk szkła, łomot miażdżonego metalu.

– Co to za korek – pytają ci z tyłu, w dalszej części kolumny.

– Wypadek – odpowiadają tamci z przodu.

I zaraz krzyk:

– Jest gdzieś lekarz?!

– Do lekarza będzie ze cztery kilometry.

– Wezwano pogotowie?

– Wezwano, będzie za kwadrans.

Naklejka z wężem Eskulapa

Jest gdzieś lekarz...?

Kolumna wolno mija miejsce kraksy. Ale jeden z wozów wyłamuje się z niej, przystaje przy rozbitym samochodzie. Wysiadający z niego mężczyzna energicznie przepycha się przez tłum gapiów.

– Proszę przepuścić, jestem lekarzem.

Błyskawicznym ruchem zdejmuje marynarkę. Potem wyszarpuje z kieszeni kluczyki od samochodu i rzuca je komuś:

– Podajcie walizkę! Taka czarna, w bagażniku... Szybko!

Mężczyzna z kluczykami biegnie do samochodu lekarza. Jego Fiat 125 jest oznakowany dwoma przylepionymi do przedniej i tylnej szyby naklejkami. W niebieskim i białym polu oplatający laskę wąż. To „eskulap" – symbol rozpoznawczy ratownika drogowego. Mężczyzna podbiega z walizeczką. Dr SŁAWOMIR MARSZAŁEK, tak na co dzień dyrektor Wojewódzkiej Stacji Pogotowia Ratunkowego w Katowicach, pochyla się nad nią, wydobywa instrumenty i natychmiast zaczyna udzielać pomocy rannemu. Szybkie, bezbłędne ruchy. Syk dławionej rękami gumowej gruszki tłoczącej w usta ofiary wypadku powietrze. Liczą się przecież sekundy, sekundy od których zależy ludzkie życie.

Ten wypadek na szczęście nie jest groźny. Ranny mężczyzna szybko odzyskuje przytomność. Teraz idą w ruch środki opatrunkowe, plaster na podrapane czoło, bandaż na skaleczoną rękę. Zanim z rykiem syreny na drodze pojawi się wóz pogotowia, rannemu udzielona zostaje pierwsza niezbędna pomoc.

Karetka odjeżdża a my jeszcze przez chwilę rozmawiamy z lekarzem występującym tu w roli ratownika OCHOTNICZEJ POMOCY DROGOWEJ W KATOWICACH.

– Jest nas na terenie województwa katowickiego pięciuset – mówi dr Marszałek. – Nasza akcja ratownictwa drogowego zaczęła się dwa lata temu, a ma na celu udzielanie pierwszej pomocy medycznej ofiarom wypadków drogowych przez lekarzy posiadających prywatne samochody. Udział w niej oczywiście był i jest całkowicie dobrowolny. Ale kto się tego podejmie – ma obowiązek udzielenia pomocy rannemu na szosie. Zawsze w swoim samochodzie wożę tę walizeczkę – pokazuje dr Marszałek. – Jest ona niewielka, jej wyposażenie umożliwia jednak szybką i skuteczną interwencję lekarza w przypadkach urazowych tzn. złamań i pęknięć kości. Znajduje się w niej również podstawowy zestaw służący do reanimacji, do pobudzania krążenia i oddechu, oraz niezbędne środki opatrunkowe.

Ta walizeczka kosztuje niewiele, zaledwie 1800 złotych. Jej cena jednak na drodze, na śródleśnych, turystycznych wertepach równa jest nierzadko cenie ludzkiego życia. Życia, które przy jej pomocy nie raz już udało się ocalić.

ANDRZEJ ŻAK
Fot. Z. Wieczorek

DOKOŃCZENIE ZE STR. 1

Dopiero niedawno, w ostatnich czterech latach, sytuacja uległa zasadniczej zmianie. Nasi zawodnicy odnieśli imponującą serię zwycięstw, jakiej nie pamiętają kroniki tej dyscypliny sportu: mistrzostwo świata w Meksyku, medal na Mistrzostwach Europy w Belgradzie, wreszcie triumf, który pamiętają wszyscy – złoty medal na igrzyskach olimpijskich w Montrealu. **Jak doszło do owej zmiany? Co się zmieniło w porównaniu z przeszłością? Jacy ludzie potrafili przekształcić „drużynę niespełnionych nadziei" w zespół zwycięzców, który zadziwił świat?**

Szukając odpowiedzi na te pytania nieodmiennie padają dwa nazwiska: trenera reprezentacji – **Huberta Wagnera**, oraz wieloletniego kapitana zespołu – **Edwarda Skorka**.

Zanim stanęli na olimpijskim podium

ŻYCIE DLA SIATKÓWKI

Błędna teoria

Hubert Wagner jest człowiekiem, o którym bez przesady powiedzieć można, że całe swoje życie poświęcił dla sportu. Pochodzi z Poznania. Po złożeniu egzaminów maturalnych podjął studia na tamtejszej politechnice, wykazując duże zdolności w tej dziedzinie i wszystko wskazywało na to, że kraj nasz wzbogaci się jeszcze jednego wartościowego inżyniera budownictwa. Na szczęście dla naszej siatkówki losy potoczyły się innym torem. Wagner wykazywał wielkie uzdolnienia do gier zespołowych. Przerwał studia, przeniósł się do Warszawy i wstąpił do siatkarskiego zespołu AZS-AWF.

Trzeba wiedzieć, że w owych czasach, a było to z górą dziesięć lat wstecz, siatkarska drużyna AZS-AWF nie miała sobie równych w Polsce. Przez wiele lat studencki zespół stolicy kolekcjonował tytuły mistrzowskie, a Hubert Wagner był jego kapitanem i „wodzem". Występował również wielokrotnie w reprezentacji Polski, ale nie odegrał w niej takiej roli, która zaspokajałaby jego sportowe ambicje. Przypuszczam, że właśnie wtedy, w czasie gorzkich doświadczeń reprezentacyjnych Wagner zadecydował, że jeszcze wróci do tego zespołu. Już nie w roli zawodnika, lecz trenera...

W latach naszych niepowodzeń i niespełnionych nadziei bardzo popularna była teoria o braku odporności psychicznej, mającej jakoby usprawiedliwiać załamania się zespołu w chwilach decydującej próby. Młody trener nie zgadzał się z tym poglądem: **„Przypuszczam – mówił – że nie można traktować odporności psychicznej jako wartości samej w sobie, oderwanej od pozostałych elementów treningu. Moim zdaniem odporność psychiczna jest niczym innym, tylko miarą wytrenowania zawodników, a sportową twardość można wyćwiczyć i doskonalić tak samo jak technikę, kondycję czy szybkość. Im bardziej pewni są zawodnicy swoich sportowych wartości, im więcej pracy włożyli na treningach – tym są twardsi i odporniejsi psychicznie".**

Praktyka ostatnich lat w pełni potwierdziła przekonania trenera. Choćby ostatni turniej olimpijski, który z pewnością wszyscy doskonale pamiętają. Dostarczył on aż nadto dowodów na to, że właśnie w sytuacjach najtrudniejszych i najbardziej dramatycznych nasi siatkarze wykazywali spokój, pewność siebie i wolę walki, które decydowały o ostatecznym sukcesie.

Umowa

Niewielu wie, że u podstaw owych sukcesów leżała umowa, zawarta pomiędzy trenerem i zawodnikami późną zimą pamiętnego roku 1973. Wówczas właśnie po raz pierwszy doszło do spotkania się zawodników reprezentacji Polski z nowym trenerem. Sytuacja była trudna. Po niepowodzeniach na igrzyskach monachijskich byli oni rozgoryczeni i zawiedzeni, nie bardzo wierzyli w to, że kiedykolwiek zostaną najlepszymi siatkarzami świata. Rozmowa była krótka i rozwiała wszystkie wątpliwości:

– Wymagam posłuszeństwa i pracy. Będzie ona twarda i ciężka, jak nigdy dotąd i nikt nie może liczyć na wyjątkowe przywileje. I starzy, i nowi będą musieli dawać z siebie wszystko. W zamian za to obiecuję sławę i sukcesy. Nie interesują mnie punktowane miejsca i osiągnięcia połowiczne. Jedyne, czego pragnę – to zwycięstwa w imprezach najważniejszych – mistrzostwach świata i olimpiady. Jeżeli ktoś nie czuje się na siłach, jeżeli nie wierzy w siebie i we mnie – niech powie natychmiast. Rozejdziemy się jak przyjaciele. Natomiast z raz obranej drogi zboczyć nie będzie można. Kto się zdecyduje – musi wytrwać do końca. Do ostatecznego zwycięstwa.

Jednym z tych, którzy musieli podjąć decyzję, był Edward Skorek. Każdy, kto choć trochę interesuje się siatkówką, doskonale zna to nazwisko. Przecież Skorek to jeden z najlepszych graczy świata w historii tej dyscypliny sportu, zawodnik, którego wielu fachowców uważa za ideał siatkarza. W pierwszej reprezentacji Polski debiutował będąc jeszcze juniorem, na początku lat sześćdziesiątych. I od tego czasu był zawsze kluczową postacią na boisku. Wiedział doskonale, że możliwości polskiego zespołu są ogromne i cierpiał, że w miarę upływu lat coraz mniejsze są szanse sportowego zawojowania świata. Ponadto – w chwili przyjęcia do reprezentacji przez Wagnera, Skorek miał już prawie trzydzieści lat. Wszyscy wiedzą, że dla sportowca mającego podjąć wielki wysiłek nie jest to już taki młody wiek. Wątpliwości było więc wiele. Wreszcie, po uczciwym i rozważnym przemyśleniu sprawy Edward Skorek złożył krótką i męską deklarację:

– Hubert, jestem do twojej dyspozycji. Zapomnijmy o nieporozumieniach i niepowodzeniach lat ubiegłych, zacznijmy wszystko od początku. Możesz na mnie liczyć!

Edward Skorek dotrzymał słowa. Mógł na niego liczyć nie tylko jego trener, ale przede wszystkim wszyscy koledzy z zespołu. Nie tylko w decydujących chwilach na placu sportowej walki, ale także poza nim, przy rozwiązywaniu wielu problemów i trudności, z jakimi nieuchronnie przychodzi spotykać się w grupie ludzi zdecydowanych wszelkimi siłami osiągnąć coś trwałego i wartościowego. Tak bowiem należy oceniać niezwykłe zwycięstwa naszych siatkarzy na igrzyskach olimpijskich w Montrealu. Sukcesy drużyny Wagnera i Skorka przyczyniły się bowiem do powstania legendy, mitu, który swoim znaczeniem i zasięgiem wykracza daleko poza sportowe ramy; praca, poświęcenie i konsekwentne dążenie do realizacji najtrudniejszych nawet zadań, wartości które tak wspaniale potrafili wykazać polscy siatkarze. Są one przecież warunkiem powodzenia nie tylko na sportowym boisku...

ZDZISŁAW AMBROZIAK
Fot. archiwum

- Jak długo żyje banknot?
- Rocznie niszczymy 15 wagonów pieniędzy!
- Niewąska zakąska dla kozy?

W GŁÓWNEJ KASIE PAŃSTWA

Jesteśmy w Narodowym Banku Polskim, głównej kasie państwa. W skarbcu i jego agendach widzimy, jak wielkie straty przynosi zarówno obywatelom, jak i gospodarce narodowej brak szacunku dla banknotów. A przecież są one nie tylko środkiem płatniczym, ale także dziełami sztuki graficznej i poligraficznej. Wykonuje się je na specjalnym papierze, 15-krotnie droższym niż najlepszy papier korespondencyjny.

W dziale ekspertyz do spraw likwidacji przed specjalistami gromadzą się stosy zniszczonych banknotów. Ich właściciele mają nadzieję, że bank szybko wymieni te pieniądze na nowe. A nie jest to wcale łatwe i nie zawsze możliwe. Ale nawet jeżeli się uda, zawsze jest to z dużą stratą dla niefortunnego właściciela, bo bank nie może finansować lekkomyślności, niedbalstwa i niechlujstwa.

Bank pobiera opłaty za ekspertyzę. Zależą one od stopnia zniszczenia banknotu i od rodzajów ubytków oraz od wartości nominalnej banknotu. Można zatem odzyskać tylko część wartości zniszczonych pieniędzy.

Co roku likwiduje się w Polsce około 15 wagonów banknotów. Niszczalnia bankowa musi się więc uporać z całym pociągiem pieniężnej... makulatury.

Jak niszczymy pieniądze?

Rolnik z mazowieckiej wsi „przechował" w sianie 60 tys. złotych. Do siana dorwała się koza i niemal w połowie skonsumowała tę „treściwą paszę". Reszta „niewąskiej zakąski dla kozy" trafiła na stolik eksperta. Być może część banknotów uda się wymienić na nowe.

Mieszkaniec podkrakowskiego miasteczka „zapeklował" w słoiku typu „weck" ponad 30 tys. złotych i schował w rzekomo pewnym miejscu – za krokwią domostwa. Pożar zwęglił dach i banknoty. Z tej najdroższej konserwy świata pozostała niewielka część do odzyskania.

Szczególnie pomysłowa była mieszkanka miejscowości wypoczynkowej w Olsztyńskiem. Złożyła swoje oszczędności w tzw. Banku ziemskim, czyli zakopała pieniądze złożone do blaszanej puszki po landrynkach. Zbutwiałe i przegniłe banknoty tylko w części będą zakwalifikowane do wymiany.

Nieco mniejsze straty dla pojedynczych właścicieli, ale najczęstsze, powoduje pranie pieniędzy. Uprane banknoty to prawdziwa zmora banku. Zostają z nich strzępki, które po pieczołowitym sklejaniu dają podstawę do częściowej wymiany. Bywa, że pozostają z upranych banknotów tylko papierowe włókna. W takiej sytuacji bank jest bezradny i odmawia odszkodowania.

Ze względów zrozumiałych bank nie może brać pod uwagę żadnych zeznań świadków w sprawie ilości i wartości zniszczonych pieniędzy. Chodzi tu o uniknięcie ewentualnych nadużyć i oszustw.

Inne sposoby niszczenia pieniędzy to: banknot doszczętnie zmiętoszony w małej portmonetce albo w kieszeni. Banknot rozdarty. Banknot pogryziony przez myszy. Banknot splamiony atramentem. Jest tych sposobów marnotrawstwa co niemiara.

Jak chronić pieniądze?

– Pytam dyrektora skarbca NBP, Jerzego Bartkiewicza.

– Bardzo dużo ... sam bank. Stwierdziliśmy ... nknot 20-złotowy „żyje" ... miesięcy, 50-złotowy ... złotowy – od 10 do 12 ... towy – do półtora roku ... lata. Chcemy zwiększyć ... W tym celu wydajemy ... o mniejszym formacie ... pierze. Ważne są jednak ... wania banku. Najistotniejsze ... to, co zrobią z banknotami ... cy. Liczymy na to, że ... elegancki gest: „moje ... knocie". Po to, żeby nie ... banku jako przedmiot ... i orzeczeń.

Informację tę wraz z ... dania jak największej ... obiegu banknotów ...

... i Marek ...

Spalone, zmięte, zbutwiałe, pogryzione, podziurawione, podarte banknoty w Dziale Ekspertyz NBP.

W sortowni banknotów przeznaczonych na zniszczenie niejedna para rąk ma wiele pracy.

Te sterty banknotów to już tylko makulatura.

Znalezisk archeologicznych w Konstancy jest tyle, że nie mieszczą się one w budynku muzeum. Zorganizowano więc tu „archeologiczny park" ustawiając płyty nagrobne, kolumny, fragmenty marmurowych ozdób – na trawnikach. Na zdjęciu widoczna aleja amfor, w których przed dziesiątkami stuleci przechowywano żywność.

„Delta Dunarii" wychodzi w morze

Stoję na wzgórzu, twarzą obrócona ku morzu siniejącemu spoza lasu portowych dźwigów. Szosa w ostrych zakrętach opada w dół, przechodząc w nadmorski bulwar. Zbocza porastają krzywe i karłowate drzewka poszarpane przez sztormowe wichry.

Dziwnie tak stać i patrzeć na miejsca, które zna się z opowieści innych ludzi, a które ogląda się pierwszy raz.

Tędy właśnie w pierwszych latach wojny uciekał z jenieckiego obozu Antoni Dąbrowski. Były kierowca warszawskich autobusów znalazł się wraz z innymi żołnierzami Września w obozie dla internowanych w miasteczku Tirgu Jiu (czyt. dżiu). Obrotny warszawiak został osobistym kierowcą rumuńskiego pułkownika, natychmiast oczywiście odpowiednio wykorzystując swój „awans". Jego nowy przełożony – zwolennik faszyzmu – nawet nie przypuszczał, co kryje się w bagażniku służbowego wozu, ilekroć wyjeżdżał poza obozową bramę. Tymczasem liczba internowanych polskich żołnierzy codziennie się zmniejszała – od kilku do kilkunastu osób w zależności od tego, ile razy pan Antoni jeździł ze swoim szefem. Pewnego dnia jeden z rumuńskich strażników ostrzegł pana Antoniego, że grozi mu aresztowanie. Trzeba było uciekać!

Dąbrowski dowiedział się, że w Konstancy stoi jugosłowiański statek, który zabierze go do Bejrutu. Drogę z Tirgu Jiu przebył ukryty pod wagonem. Gorzej było w Konstancy. Dworzec obstawiony wojskiem, wszystkim sprawdzano dokumenty. Przekradł się więc torami, między wagonami. Wreszcie dotarł tu, na tę skarpę. Zbiegł ze wzgórza między krzewami – aby szybciej do portu, aby zdążyć przed zbliżającym się pościgiem.

Przy najbliższej kei trwał właśnie załadunek drobiu. Dokerzy na widok zdyszanego mężczyzny przerwali pracę.

– Polonez? – zapytał jeden z nich.

– Polonez – przytaknął pan Antoni. W tym samym momencie dokerzy uchylili drzwi jednej z dużych klatek i pan Antoni wcisnął się między gdaczące ptactwo. Wkrótce potem do portu wpadł pościg.

– Biegł tędy mężczyzna w zielonym ubraniu?

– A biegł.

– Gdzie jest?

– Pewnie wpadł do wody, bo już nie wracał – odpowiedzieli dokerzy. W tym samym momencie ramię dźwigu uniosło klatkę, by ją ustawić na pokładzie statku. W taki to, trochę niecodzienny sposób, pan Antoni dostał się na swój statek. Później, po wielu perypetiach, wstąpił do polskiej armii formującej się na obczyźnie. Walczył pod Monte Cassino, przeszedł przez wiele żołnierskich trudów. Tuż po zakończeniu wojny wrócił do Warszawy, do żony i synka.

Nie zapomniał o tamtym przeżyciu w Konstancy, nie zapomniał o tamtych dokerach, którzy ryzykując życiem pomogli mu w ucieczce.

MIASTO – MUZEUM

Teraz tę drogę ku portowi znaczą smukłe kolumny i pękate starożytne amfory, wydobyte przez archeologów z głębi ziemi i ustawione na kamiennych postumentach. Obecna Konstanca – to starożytne Tomis, założone przez kolonistów greckich z Miletu w VI wieku przed naszą erą. Później Tomis ponad dwieście lat należało do rzymskiego imperium.

Przed kilkunastu laty podczas prac ziemnych odkryto w pobliżu morskiego brzegu ruiny starożytnej Agory – domu handlowego, w którym obradowali przed setkami lat kupcy, członkowie rady miasta Tomis, gdzie spotykali się kapitanowie zawijających do portu żaglowców. W magazynach Agory znaleziono sto pięćdziesiąt amfor pełnych ziarna, mirry, barwników, smoły i innych produktów, którymi handlowano w starożytności. Ale prawdziwym skarbem okazała się barwna mozaika. Kamienny dywan bogaty w ornamenty, o długości stu, a szerokości dwustu metrów pokrywał podłogę odkopanego tarasu Agory. Jest to jedno z najwspanialszych na świecie znalezisk tego rodzaju z okresu rzymskiego cesarstwa.

Ponieważ muzeum w Konstancy nie mieści tych wszystkich archeologicznych skarbów, wystawiono je do parków i na ulice. Trzęsienie ziemi, a później wielowiekowa turecka niewola – Turcy obrócili miasto w perzynę – spowodowały, że dawna świetność Tomis i skarby kultury uległy zapomnieniu.

Schodzę powoli ku portowi. Chciałabym bardzo odnaleźć tamtych dokerów, którzy w tak trudnych sytuacjach pomagali naszym żołnierzom.

SPOTKANIE Z „DELTĄ DUNARII"

Port zatrudnia tysiące ludzi. Ale w dziale kadr na moją prośbę sprawdzają teczki personalne najstarszych ... Rozdzwaniają się telefony ... na jakimś innym stanowisku ... doker...

Po pewnym czasie stwierdzam ... że pomóc mi może jedynie ... przypadek, jak przy archeologicznych ... kopkach...

Gospodarze, chcąc w jakiś ... godzić zawód, zaopatrują mnie ... i prowadzą na najwyższe piętro ... pitanatu portu. Z szerokiego ... widok na port.

– Nie jest wykluczone, że ... z tamtych dokerów pracuje ... z moich przewodników ... nabrzeże. Prowadząc ... Rumuna dostrzegam nagle ... wetkę statku.

DOKOŃCZENIE ...

Widok na port.

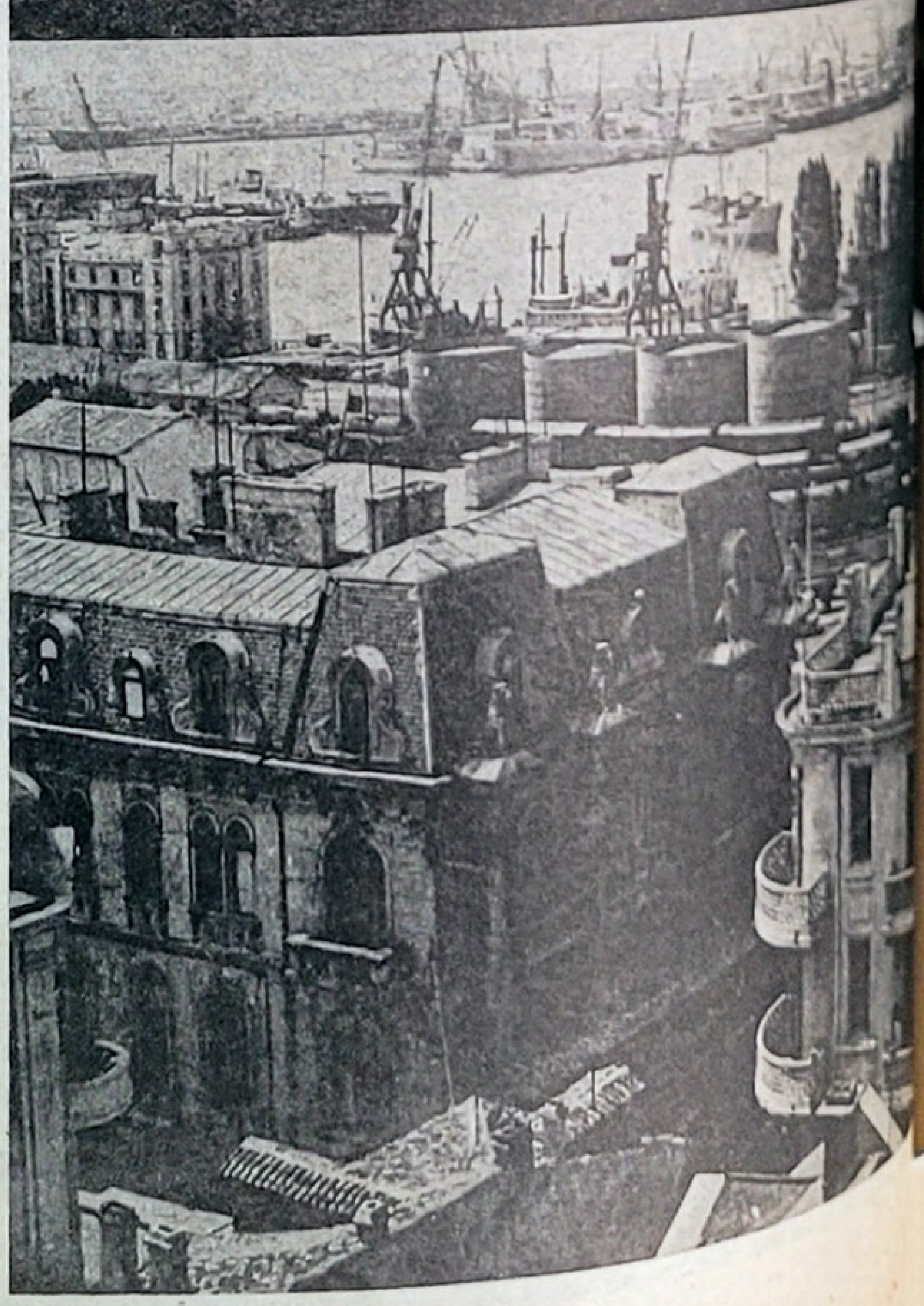

...nie trzeba przedstawiać ... polskiej ... prof. Jana ... Całe pokolenia ... wychowały ... a „Ptaki ...” nie mają równego ... w polskiej ... ornitologicznej. ... przeszedł na ... kierował Katedrą ... Akademii

... odwiedziłam po ... w jego prywatnym ... Właśnie wrócił ... ornitologicznej. ... zielony padł ofiarą ... gołębiarza – po ... początku rozmowy, ... pióra ptaka ... w Radojewie ... drapieżnik...

... przeprasza, że zajęty ... razie skrzydlatymi ... W pokoiku jed... stoi kilkanaście ... papużka falista, ... egzotyczne tygry... dzióbek i ulubie... Skrzydlate bra... wydziobu... niedojrzałe na... Potem za pręt... zatknięte dzikie ... za nim ptaki ... Powodzeniem ... dzika cykoria. Le... umieszczona na razie ... z wodą, wzbogaci ... jutrzejsze śnia...

... uważają, że ptak ... bardzo cierpi, a pro... srebrnodzióbek ... mieszkaniec Sahary ... rdzawym upierze... dzióbkiem o metalicznym ... – skacze jak młodzik. ... lat! Na wolności nie ... tak sędziwego wie... ptaków ginie w Afry... katastrofalnych su... szczygieł na swo... często się trafia, trzy... – to wielka rzadkość. ... pod dobrą opieką ... kilkanaście lat!

... ranka profesor wy... klatki za okno, by ich ... odetchnęli świeżym powietrzem. Ten nieco... widok już nie robi wra... sąsiadach. Z rana skła... swojemu opiekuno... wróbel Michał. Wiosną ... wadza potomstwo. ... młode... na szafie profe... W pokoju nie ma bowiem ... ani regału.

Dziwne prawda? Czasem ... mają gabinety ... wyposażone, biblio... drabinkę na kółkach, żeby ... sięgnąć po potrzebne ... Moje pomoce nauko... szczą się w szafie i tap... Siadam w tym fotelu, ... na kolanie, przenosząc wzrok znad papieru na ptaki lub rybki (w pokoju są dwa akwaria).

Moje zainteresowanie ptakami zrodziło się bardzo wcześnie. Gdy miałem 5 lat, dostałem od ojca kanarka. Nie mogłem się oderwać od klatki. Potem hodowałem gołębie, a że wczesne dzieciństwo spędziłem na wsi, zająłem się też hodowlą królików. Przy okazji „odkryłem” sam prawo genetyczne Mendla. Pomógł przypadek: parka żółto-białych królików przekazała tę ciekawą barwę sierści całemu potomstwu. Ku zazdrości kolegów dochowałem się 30 jednakowych królików.

Kiedy miałem 9 lat, rodzice oddali mnie do gimnazjum w Poznaniu. Nauka w niemieckiej szkole niezbyt mnie pociągała. Trzeba było studiować nudne życiorysy Hohenzollernów, a w przyrodzie działo się tyle ciekawych rzeczy... Wolałem obserwować ptaki. Zimą odwiedzałem ZOO – ojciec zafundował mi roczną kartę wstępu. Do dziś czerpię materiały z tych swoich młodzieńczych spostrzeżeń.

Z wybitnym ornitologiem polskim profesorem JANEM SOKOŁOWSKIM rozmawia Maria Wróblewska

PTAKI PRZEDE WSZYSTKIM

Szczygieł – ulubieniec profesora

Profesor sięga do tapczana po swoją pierwszą akwarelę. Typowy pejzaż wielkopolski: łąka, strumień, dalej droga wysadzana topolami. Gajówka pod lasem. Ale na pierwszym planie – jaskółka.

Talent malarski wielkiego ornitologa ujawnił się we wczesnym dzieciństwie. Zaczęło się... od zająca... Każdej soboty ojciec sadzał chłopca na kolanach i rysował ciągle to samo zwierzę. Kiedyś Jaś zaprotestował.

– Jak jesteś taki mądry to sam narysuj! – powiedział ojciec.

I malec narysował. Kuropatwę, sarnę i inne zwierzaki. Rodzice orzekli, że ma talent podobnie jak jego stryj, który ukończył szkołę Jana Matejki w Krakowie. Przyszły profesor rozpoczął naukę rysunku u profesora Fryderyka Pautscha podczas I wojny światowej. Po wojnie uczęszczał do Szkoły Zdobniczej w Poznaniu. Jednak pasja przyrodnicza zwyciężyła. Podjął studia biologiczne na Uniwersytecie Adama Mickiewicza, dodatkowo studiował geografię i geologię. Doktorat, habilitacja na podstawie dzieła „Ptaki ziem polskich”. Praca w szkole Korpusu Kadetów w Rawiczu, a potem w poznańskim Pedagogium. Wielka akcja ochrony ptaków. Starania o utworzenie Stacji Ochrony Ptaków mimo poparcia społeczeństwa nie przyniosły rezultatów.

W jednym z wywiadów telewizyjnych profesor Sokołowski wspomniał, że marzy o utworzeniu w Polsce klubów obserwatorów ptaków. Na wzór anglosaskich bird vatchers'ów. Nasz Klub Ptakolubów spełnia oczekiwania nestora polskiej ornitologii.

– Co mógłby Pan profesor doradzić Ptakolubom rozpoczynającym samodzielne obserwacje?

– Literatura ornitologiczna, zbiory muzealne i wyprawy w teren to jeszcze nie wszystko. Żeby dobrze poznać ptaki, chociaż przez rok trzeba je hodować. Dowiecie się wtedy wiele więcej o swoich wychowankach, niż można wyczytać z książek...

Rys. **Jan Sokołowski**

GORYCZ NA KARTOFLISKU

...średniową jesienną prze... nauce prawie wszyscy ... mojej szkoły po... na pracę. Tylko bardzo ... klasy wyjechały na ...czki.

... nie była bardzo ciężka ... zbieranie wykopanych ...ków, ale już drugiego ...liśmy tego serdecznie ... organizacja. Na ... dowożono ... traktorami ... autobusami. ... musieliśmy dłużej ... zanim ktoś raczył po nas ...chać. A potem – w dro... nie obyło się bez posto... na reperację wysłużonego ... sprzętu.

... polu nikt nie wiedział, po ... właściwie jesteśmy i co mamy robić. Gonili nas z jednego kawałka ziemi na drugi i nikt nie potrafił zdecydować, z którego pola mamy zbierać ziemniaki.

Po kilkugodzinnym bieganiu można było zjeść śniadanie, które zazwyczaj przywożono już po południu. Nie było atrakcyjne: zimna, gorzka, czarna kawa, chałka albo dwie bułki z margaryną. A tak chciałoby się wypić coś gorącego! Wtedy i czerstwe bułki na pewno by ... smakowały.

Traktor... nie odznaczali ... wzorcy... cią, ciągle pokrzykiwali ... su do czasu obrzucali nas niezbyt miłymi dla ucha epitetami.

A najbardziej irytowało to, że każdy patrzył nam pilnie na ręce, jakby obawiano się, że wywieziemy z pola do domu przynajmniej po dwa worki ziemniaków.

Gdyby nie nasz wychowawca – ucieklibyśmy stamtąd. On jednak potrafił rozładować niemiłą atmosferę i tylko dzięki niemu mamy – co może brzmieć dziwnie – miłe wspomnienia.

Zarobiliśmy trochę pieniędzy; przeznaczyliśmy je na wspólną wycieczkę. Tylko dlaczego popsuto nam przyjem... której mogła dostarczyć

BAZAR

Na jesienne wieczory

Dziś coś dla dziewcząt

Moda na haftowane bluzki, sweterki, spódnice ciągle trwa. Te z Was, które jeszcze nie próbowały same wyszywać, zachęcamy. Jest to doskonałe zajęcie na coraz dłuższe jesienne wieczory. Z myślą o tych, co to stawiają pierwsze kroki w tej sztuce, spółdzielnie pracy przygotowały różnorodne zestawy na które składają się: tamborek, igły, kolorowe nici, kawałki płótna z wyrysowanym wzorem. Wyszyte serwetki i chusteczki do nosa poza tym, że będą wprawką do trudniejszych robótek, mogą być miłym upominkiem dla mamy, babci czy koleżanki. Prezentowane na zdjęciach zestawy można nabyć w sklepach z zabawkami.

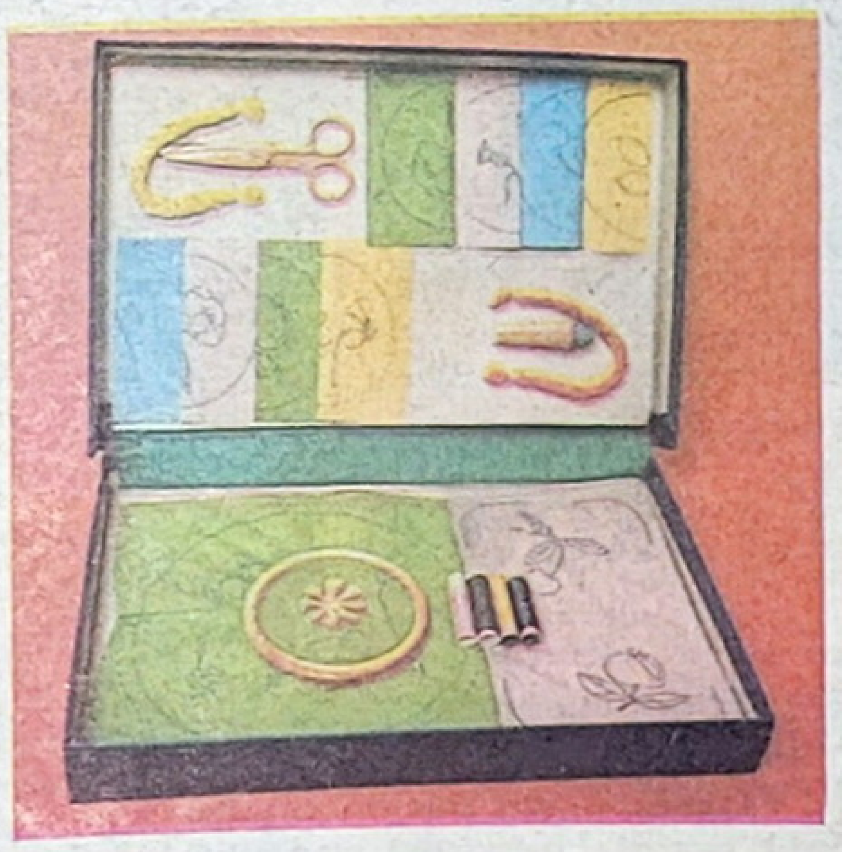

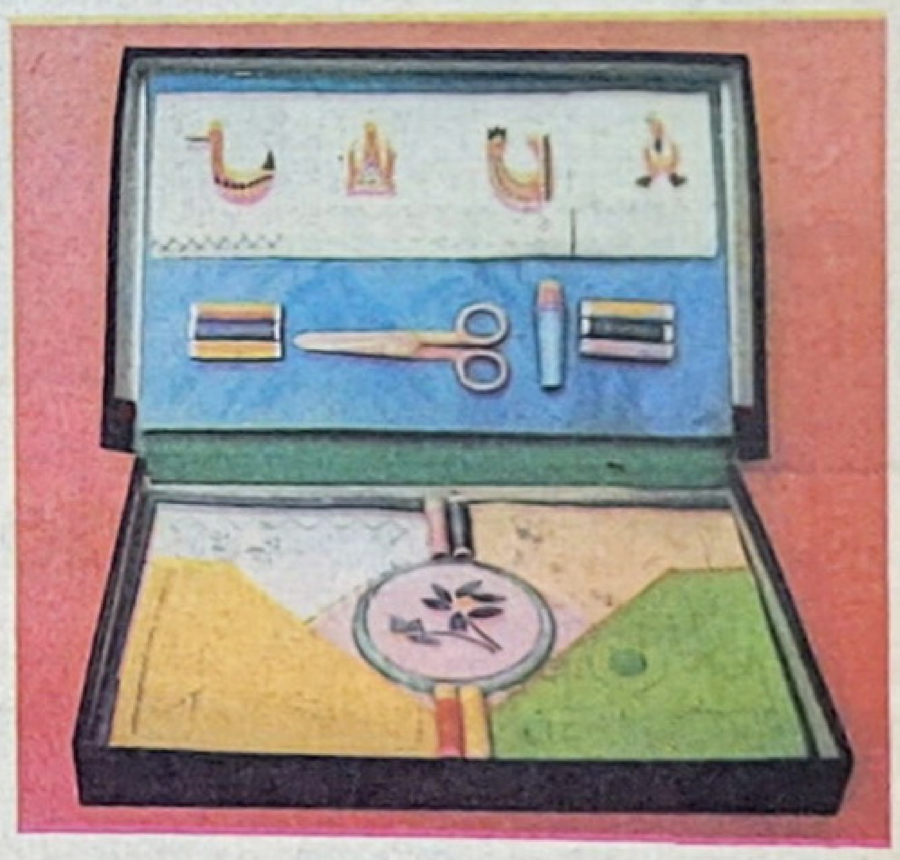

GWIAZDOZBIÓR

EWA SZYKULSKA

o pracy nad filmem

„GWIAZDA ZWODNICZEGO SZCZĘŚCIA"

Pamiętamy ją z dużego ekranu, choćby jako jedną z narzeczonych bohatera komedii „Człowiek z M-3", i z małego – z roli Karen w serialu „Pan Samochodzik i templariusze". Grała też na Węgrzech i w NRD, jest aktorką warszawskiego teatru Studio. Ostatnio wystąpiła w roli Francuzki, Pauliny Goebl w radzieckim filmie „Gwiazda zwodniczego szczęścia", reżyserowanym przez Władimira Motyla. Partnerowali jej m. in. Natalia Bondarczuk, Irina Kupczenko, Innokientij Smoktunowski, Aleksy Batałow, Oleg Striżenow i Igor Kostalewski. Bohaterowie filmu to uczestnicy powstania dekabrystów i kobiety, które postanowiły towarzyszyć im na zesłaniu. Scenariusz powstał na podstawie autentycznych pamiętników.

O pracy nad filmem „Gwiazda zwodniczego szczęścia" mówi Ewa Szykulska:

– To moja pierwsza tak duża rola w filmie kinowym, trudne i pasjonujące zadanie aktorskie. Od końca realizacji minęło już nieco czasu, a ja pamiętam dzień po dniu, jak gdyby to było wczoraj. O wszystkim zadecydował przypadek – reżyser zobaczył moje zdjęcie w polskim piśmie filmowym, zaprosił mnie na próbne zdjęcia. Początkowo chciał, by tę rolę grała aktorka francuska, potem zdecydował się na Polkę – musiała to być aktorka o nieco innym niż rosyjski stylu gry. Tak to sobie wyobrażał. Było w związku z tym sporo zabawnych nieporozumień i wspólnych poszukiwań, w jaki sposób zbudować tę odrębność postaci. Bardzo wiele zależy od człowieka, z którym się współpracuje, od stosunku reżysera do aktora, traktowania scenariusza sztywno czy też nie. Władimir Motyl często zmieniał scenariusz, praca nad filmem była w dalszym ciągu poszukiwaniem najlepszej możliwości przedstawienia tematu, który przygotowywał od wielu lat. I tak na przykład rola gubernatora Irkucka Zeidlera, którego zagrał Smoktunowski, początkowo epizodyczna, rozrosła się znacznie w czasie realizacji. Charakterystycznym przykładem ilustrującym kierunek zmian w postaci mojej bohaterki była scena ślubu Pauliny z porucznikiem Anienkowem w Czycie – pierwszym więzieniu dekabrystów. Anienkow został uwolniony tylko na czas trwania ceremonii. Cerkiew, uroczysty nastrój, pop wygłasza formułę: „czy chcesz Praskowio...", bo Paulina przeszła na prawosławie, stąd zmiana imienia na rosyjskie. W scenariuszu napisano, że uduchowiona, ze łzami szczęścia, mówi sakramentalne: „tak". Próbujemy scenę i nie jesteśmy zadowoleni; po prostu nie wychodzi mi to uduchowienie i łzy. Atmosfera na planie staje się coraz bardziej napięta, reżyser jest wściekły, ja nie mniej. Wreszcie – godzinna przerwa. I potem próbujemy już inaczej. Gdy tylko pop zaczyna mówić, Paulina już wie, jej „tak" jest niemal okrzykiem, radosnym, zwycięskim. Wymyśliliśmy jeszcze jedno. Paulina mówi cały czas po francusku, język ten był wtedy w Rosji w tym środowisku w powszechnym użyciu, nie musiała więc uczyć się rosyjskiego. Po rosyjsku mówi „tak" i „było nie było", gdzieś się nauczyła tego powiedzonka i używa go z sensem i bez sensu. Postanowiliśmy, że teraz też powie „tak" i doda „było nie było". Bardzo się to na ekranie sprawdziło. Radosny, pogodny akcent, rozluźnienie, a za murami cerkwi czekają na Anienkowa kajdany, na Paulinę – tęsknota i samotność.

Praca w Związku Radzieckim pozostawiła mi niezapomniane wrażenia. Tam wszyscy żyją filmem, cała ekipa. Znakomity jest system prób, aktor poza pracą na planie zobowiązany jest do uczestniczenia w próbach zarówno przed, jak i w trakcie zdjęć. Pozwala to na lepsze zgranie z partnerem, wypracowanie szeregu wariantów poszczególnych scen, lepsze zrozumienie postaci. Aktorzy radzieccy bardzo sumiennie traktują swoją pracę. Choć każdy z nich wiele już razy stawał przed kamerą, swą rolę potraktował jak gdyby była jedyna w życiu. Dodatkową trudnością dla mnie było opracowanie dialogów. Grając mówiłam po francusku, miałam nauczycielkę, z którą przygotowywałam poszczególne sceny. Ale potem, przy nagrywaniu dźwięku, było to znacznie bardziej skomplikowane. Zbyt słabo mówię po francusku, bym mogła podłożyć całą rolę, zaś w scenach bardzo emocjonalnych, aktorskich, nie chciałam z tego rezygnować. W rezultacie dobrano głos dublerki, bardzo podobny do mego. Była to autentyczna Francuzka, choć nie aktorka, która pracowała już przy kilku filmach, m. in. „Wojnie i pokoju" i „Szlacheckim gnieździe". Jest nawet tak, że w jednym ujęciu [illegible] obydwie. Sądzę, że dla widzów [illegible] dzie to niezauważalne.

Każda rola zostawia aktorowi [illegible] kieś wspomnienia, jakiś bagaż do[illegible] świadczeń i wiedzy o sobie samym. Pracy nad „Gwiazdą zwodniczego szczęścia" nie da się zapomnieć, uwa[illegible] żam tę rolę za ważny etap w moim życiu aktorskim.

Notowała: ELŻBIETA DOLIŃSKA
Fot.: J. Troszczyński

Wisłą ze Śląska do Krakowa

OŚWIĘCIM (Inf. wł.). Jeszcze do niedawna węgiel ze Śląska do Krakowa transportowany był głównie drogą lądową. W lipcu br. Przedsiębiorstwo Budownictwa Hydrotechnicznego „Energopol-2" z Krakowa przystąpiło do pogłębiania koryta i umocnienia brzegów Wisły w jej górnym biegu, nie nadającym się dotąd do żeglugi. W tym samym czasie rozpoczęto budowę portu załadunkowego w Gromcu koło Oświęcimia, który pełną zdolność załadunkową osiągnie w 1980 r., kiedy zakończy się główny etap tej ważnej inwestycji. Płynący rzeką węgiel z kopalni „Ziemowit" i „Brzeszcze" znacznie szybciej będzie docierał do huty w Skawinie, Huty im. Lenina i do mieszkańców Krakowa. Do nowego portu węgiel dowozi się obecnie samochodami. W najbliższej jednak przyszłości zostaną one zastąpione specjalnymi taśmociągami. Przetransportowane zostanie w tym roku 100 tys. ton węgla, ale już w 1980 r. barki płynące z Gromca do Krakowa przewiożą 5 mln ton. **(jr)**

REDAKCYJNA POCZTA

Bierna postawa

Po przeczytaniu listu Jacka z Chorzowa (nr 118 „ŚM") szalenie się zdenerwowałam. Uważam, że koleżanki i koledzy słusznie nazwali go lalusiem. Sądzę tak przede wszystkim dlatego, że skoro uważa on uciekanie z lekcji za głupie, to powinien temu faktowi w jakiś sposób zapobiec! Myślę, że mógł odwieść kolegów od tego zamiaru. Mnie się to kilka razy udało, a więc nie jest to takie trudne. Jeśli jednak wszelkie próby Jacka zakończyłyby się niepowodzeniem, mógł uciec wraz z całą klasą, byłoby to ostatnim wyjściem z sytuacji. Sądzę, że Jacka po prostu nie obchodziła reszta klasy...

Klaudia z Zabrza

Na co czekają?

Jesteśmy uczniami klasy VI. W zeszłym roku byliśmy jedną z lepszych klas w szkole. Sytuacja zmieniła się, gdy doszło do nas kilkanaście nowych osób. Wtedy to zaczęły się sypać dwójki i pogorszyły się oceny z zachowania. Wielu obecnych „dwójkowiczów" to zdolna młodzież, ale niestety nie chcą się uczyć. Nie wiemy, co dalej robić, w jaki sposób zmusić kolegów do pracy.

W imieniu klasy
przewodnicząca Dorota

Dajcie im szanse!

List mój przeznaczony jest dla „Suzi" ze 123 nr „ŚM". Nawet nie wiesz, „Suzi", jak się mylisz! Protestuję przeciw takiemu postępowaniu, jakie było Waszym udziałem. Postąpiliście bardzo nielojalnie w stosunku do swoich kolegów. Gdzie jest powiedziane, że członkowie Rady Uczniowskiej muszą być wzorami wszelkich cnót? Czy jest jakieś prawo, które zabrania wejścia gorszym uczniom do samorządu szkolnego? Nieraz przekonałam się jak bardzo mobilizuje pełnienie odpowiedzialnej funkcji. Nie można z góry przekreślać możliwości rówieśników, którzy pozornie nie są ideałami. Mieliśmy kolegę, który uznany był za zawadiakę i słabego ucznia. Potem został on przewodniczącym samorządu i wszyscy byli zdumieni, bo nikt nie spodziewał się, że tak doskonale sprosta powierzonym zadaniom. Proponuję więc, abyście jeszcze raz przeprowadzili wybory. Ale tym razem zastanówcie się, nim skreślicie kogoś z listy!

Anka Kamińska

Rafał Zaremba lat 16, ul. Waszkiewicza 50/1, 17-100 Bielsk Podlaski nawiąże korespondencję z kolegami, którzy interesują się końmi.

Zbieramy wiadomości o L. Telidze

Patronem naszej klasy jest Leonid Teliga. Niestety nie udało się nam zebrać o nim zbyt wielu informacji. Dlatego więc prosimy kolegów z innych szkół o przesłanie nam wiadomości o tym słynnym polskim żeglarzu.

Szkoła Podstawowa w Dubinie
klasa V
22-621 Zubowice

OD REDAKCJI: W Waszej bibliotece szkolnej powinna znaleźć się książka L. Teligi pt. „Samotny rejs «Opty»". Przypominamy, że w lutym br. nasza redakcja objęła patronat nad statkiem PLO noszącym właśnie imię sławnego żeglarza. Na łamach „ŚM" powstał też Klub Przyjaciół m/s „Leonid Teliga", do którego należeć może każdy, kto wykona proponowane przez nas zadania. Pierwszym z nich było zorganizowanie wieczornicy, godziny wychowawczej lub kominka poświęconego Telidze lub polskiej gospodarce morskiej.

5 MINUT Z ANKĄ

Już od dobrych paru dni szykuję się do imienin Sylwii. Jak się ubiorę – to wiem, kłopot nastręcza mi prezent. Bo funduszami zbyt obfitymi nie dysponuję, pomysł żaden mi jakiś extra oryginalny do głowy nie przychodzi, a przecież nie wejdę do księgarni i nie kupię pierwszej lepszej książki. Chciałabym podarować Sylwii coś specjalnego...

Ulka się ze mnie z tego powodu podśmiewa i nawet podejrzewa z mej strony jakieś mściwe wobec Sylwii zamiary. Właściwie... kiedyś takie miałam, dawno.

Chyba w każdej klasie jest zwyczaj, że jak ktoś ma imieniny, to kupuje torbę cukierków i częstuje resztę. Oczywiście z tymi cukierkami to tak jest, że nie sposób mieć w torbie akurat tyle sztuk, ile jest koleżanek i kolegów w klasie, zazwyczaj ma się więcej. I najpierw każdy zostaje poczęstowany jednym – sprawiedliwym, a potem – zależnie od charakteru solenizanta – zostaje rozparcelowana ta reszta, najczęściej pomiędzy jego najbliższych przyjaciół.

Było to w III klasie i były akurat imieniny Sylwii, i Sylwia z torbą krówek robiła tę pierwszą, tę „sprawiedliwą" rundę po klasie. Mnie ominęła. Więc Ulka ją za rękaw, że się pomyliła. A Sylwia na to, że nie, tylko że ja mam imieniny w czasie wakacji i w związku z tym klasę omijają moje imieninowe cukierki, to nie widzi powodu, dlaczego np. ona miałaby mi dawać swoje. I poszła sobie dalej z tymi krówkami. A ja oczywiście w ryk.

W domu, wystąpiłam z pretensjami do rodziny, że dali mi takie głupie imię, które stawia mnie w idiotycznej sytuacji wobec klasy. W każd[illegible] pory bardzo się z Sylw[illegible] [illegible]biłyśmy. Ja jej, bo na krówkę miałam ochotę, a ona mnie, bo wychowawczyni, która o sprawie się dowiedziała, kazała jej mnie przeprosić.

To złowrogie milczenie między nami trwało bardzo długo, prawie 4 lata. Obiecywałam sobie, że przy okazji się zemszczę. W tym momencie to [illegible] de będzie rację. Tylko... że okazji nie było i ra[illegible] z Sylwią w jednej. W czasie ostatnich wakacji był[illegible] przypadkowo, bo np. grupie kolonijnej – abso[illegible]na tam będzie, to bym nie gdybym ja wiedzi[illegible]zo się polubiłyśmy. Lipiec był pojechała – [illegible] niej na swoje imieniny malutkiego. Dostała[illegible] pieska, którego sama mi zrobiła z włóczki. Jakoś ku[illegible]pia sprawa! Jeden włóczkowy piesek i... Jakoś [illegible] nie potrafiłam zachować się konsekwentnie. Co najgorsze, wcale mnie to nie martwi.

ANKA

ZAKOŃCZENIE ZE STR. 4

...lemelka do oczu. Tak, nie mylę się, z kei nabackiego nabrzeża przycumowana jest „DELTA DUNARII"! Co za okoliczności. Przed kilku laty uczestniczyłam w Gdańskiej Stoczni im. Lenina w uroczystości chrztu i wodowania tej jednostki.

– Bardzo dobre statki. Nasi rybacy ogromnie są z nich zadowoleni – podkreślają moi opiekunowie.

Stocznia w Gdańsku zbudowała wprawdzie takich trawlerów-przetwórni dla Rumunii. Te małe pływające fabryki mają na swoich pokładach zamontowane, oprócz polowowych, urządze-

„Delta Dunarii" wychodzi w morze

nia do wyrobu mączki rybnej, tranu i filetów z ryb. Mogą one łowić tak na wodach tropiku, jak i wśród lodów Arktyki i są w stanie pół roku przebywać na morzu bez zawijania do portu, na taki bowiem okres mogą zabrać zapasy wody, żywności i paliwa.

„DELTA DUNARII" szykuje się do wyjścia na łowiska. Świadczy o tym gorączkowy ruch przy statku.

Współpraca polskich ludzi morza z Konstancą nie kończy się na budowie trawlerów. Nasze przedsiębiorstwa połowów dalekomorskich delegowały na rumuńskie statki rybackie specjalistów od połowów oceanicznych, by przekazali swoje doświadczenia i wiedzę w tej dziedzinie rumuńskim rybakom. Znają również Polaków w stoczni w Konstancy. Tu na podstawie dokumentacji opracowanej w Stoczni im. Komuny Paryskiej w Gdyni buduje się 15-tysięczniki służące do przewożenia rudy, węgla oraz innych towarów masowych. W porcie i stoczni Konstancy pracuje również wiele urządzeń ze znakiem eksportowym „Made in Poland".

Niestety, nie odnalazłam tamtych dokerów, a tak bardzo chciałam przedstawić ich naszym czytelnikom. Kiedy przed opuszczeniem Konstancy udałam się na wzgórze, z którego roztacza się widok na port, „DELTA DUNARII" wychodziła właśnie na pełne morze. Pomyślałam sobie wówczas, że jednak tamta nić przyjaźni zadzierzgniętej w trudnych latach wojny przetrwała. W tej chwili znaczy ją ślad kilwateru, statku budowanego w naszym kraju.

WIESŁAWA MROCZEK
Fot. autorki

I znowu byliśmy świadkami kolejnego radzieckiego eksperymentu kosmicznego na pokładzie „Sojuza-23", który odbył się w dniach 14–16 października br. Tym razem w locie orbitalnym uczestniczyli kosmonauci – ppłk Wiaczesław Żudow (dowódca-pilot) i inż. pokładowy, ppłk Walery Rożdiestwienski. Celem tej wyprawy było kontynuowanie badań na pokładzie stacji orbitalnej „Salut-5", zapoczątkowanych przez załogę „Sojuza-21". Niestety, program nie został w pełni wykonany, bowiem w momencie zbliżania się statku do „Saluta-5" wystąpiły pewne nieprawidłowości w działaniu urządzeń, uniemożliwiające połączenie na orbicie obydwu aparatów. W tej sytuacji naziemne centrum dowodzenia lotem zdecydowało przerwać eksperyment i sprowadzić statek na Ziemię. Lądowanie odbywało się w bardzo trudnych warunkach w nocy, podczas silnej śnieżycy. Aparat lądujący opadł na spadochronach na wody jeziora Tengiz. Było to więc pierwsze wodowanie w historii radzieckich eksperymentów kosmicznych. Na szczęście wszystko zakończyło się szczęśliwie. Ostatni lot załogowy uświadomił przy okazji, że wyprawy kosmiczne nadal kryją wiele niespodzianek, że kosmos nadal pilnie strzeże swych tajemnic.

Dziś rozpoczynamy zapowiedziany nowy cykl – przedstawianie sylwetek sławnych astronomów. Na początek Eudoksos z Knidos.

Prezes TOMIKA
St. BOROWIECKI

Kosmonauci Żudow (z lewej) i Rożdiestwienski w drodze na pokład statku kosmicznego.
Fot.: CAF-TASS

Z zainteresowaniem przeczytałem artykuł wydrukowany w TOMIK-u z dnia 28.09.1976 r. o „Kaukaskim gigancie". Chciałbym dorzucić do tego tematu jeszcze parę ciekawych informacji o tym teleskopie i o innym gigancie. Do niedawna największym teleskopem naszej planety był 200-calowy (508 cm) teleskop Hale'a na Mount Polomar w Kalifornii. Chciałbym przypomnieć kilka cech tego teleskopu. Szlifowanie zwierciadła z dokładnością 0,00001 mm trwało 5 lat. Jego ażurowy tubus, który bez zwierciadła waży 88 ton, ma 7 m średnicy i 18 długości. Cały teleskop waży ok. 500 ton. Mimo ciężaru specjalne urządzenie pozwala go prowadzić za ruchem gwiazdy

DWA GIGANTY

z dokładnością zegarka. Pięciometrowe lustro skupia w ognisku 700 tys. razy więcej światła niż oko ludzkie.

Radziecki teleskop został zmontowany w obserwatorium na górze Postuchowa na wysokości 2070 m. Samo zwierciadło o grubości 65 cm i średnicy 600 cm waży 42 tony! W środku lustra jest otwór o średnicy 50 cm, przeznaczony do regulacji teleskopu. Długość ogniska wynosi 24 m, tam też jest kabina obserwatora. Zwierciadło osadzono na 60 podporach w 4 pierścieniach. Montaż tego teleskopu jest azymutalny, a nie – jak stosuje się w większości przypadków – paralaktyczny. Plusem tego układu jest znacznie mniejszy ciężar, minusem zaś tzw. martwa strefa, niedostępna do obserwacji w odległości 5° od zenitu. Teleskop będzie wykorzystywany przeważnie do badań astrofizycznych i spektograficznych. Sześciometrowe lustro skupia około 1 000 000 razy więcej światła niż oko ludzkie. Jest to rzeczywiście gigant!

Wojciech Rogowski
ul. Rembielińska 5/78
03-343 Warszawa

JEDEN Z NAJSTARSZYCH ASTRONOMÓW

EUDOKSOS
Z KNIDOS
(408–355
p.n.e.)

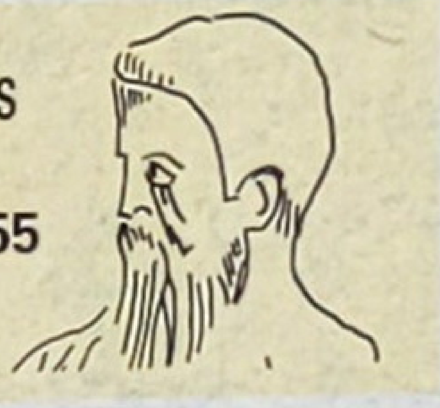

Eudoksos z Knidos żył w 408–355 r. p.n.e. Należał do najwybitniejszych astronomów starożytności. Jako pierwszy opracował geometrycznie platoński model świata, wprowadzając współśrodkowe, oczywiście fikcyjne sfery, które miały rzekomo unosić poszczególne planety i świat gwiazd. Eudoksos wywodził się z miejscowości Knidos, położonej w Azji Mniejszej. Od 23 roku życia był uczniem Akademii Platońskiej w Atenach, później, w celu pogłębienia swej wiedzy, udał się do Egiptu. Tam spędził parę lat w Heliopolis pod okiem kapłanów świątyni boga Słońca, którzy od wieków uprawiali wiedzę o niebie. Do Grecji powrócił w wieku 30 lat i odtąd był wykładowcą w Akademii.

Oto jak wyobrażał sobie świat ów wnikliwy myśliciel i geometra: środkiem miała być nieruchoma Ziemia. Okrążało ją 27 koncentrycznych sfer kryształowych różnych rozmiarów, które poruszały się z różnymi prędkościami kątowymi. Na przykład dla wytłumaczenia zawiłych ruchów Księżyca przyjmował Eudoksos trzy sfery. Pierwsza okrążała Ziemię ruchem prostym (z zachodu na wschód) raz na miesiąc, druga w podobny sposób toczyła się wokół Ziemi ruchem wstecznym (ze wschodu na zachód) raz na 223 lunacje Księżyca, to jest w ciągu 18,5 lat. I ona to miała tłumaczyć osobliwe cofanie się w tym okresie węzłów drogi księżycowej wzdłuż ekliptyki. Wiadomo, że węzłami drogi Księżyca zwiemy dwa przeciwległe punkty jej przecięcia z pozorną drogą Słońca, czyli ekliptyką.

Eudoksos zauważył też nierównomierny ruch sfery Słońca w ciągu roku. By wyrównać wciąż „psujący się kalendarz", zaproponował wprowadzenie lat przestępnych co cztery lata. Jednakże wskazanie to zrealizował dopiero w trzy wieki później Juliusz Cezar. Analogicznie, a więc za pomocą sfer różnych rozmiarów wirujących z różną prędkością wokół Ziemi, tłumaczył Eudoksos także i zawiłe ruchy jasnych planet, podówczas znanych. Krążyły one dokoła naszej planety w następującej kolejności: Księżyc, Słońce, Wenus, Merkury, Mars, Jowisz i Saturn.

Uczeń Eudoksosa, Kallipos z Kyzikos, zmienił nieco model świata swego mistrza, zwiększając liczbę sfer do 33. Arystoteles ze Stagiry (384–322 r. p.n.e.) poszedł jeszcze dalej. Jego świat liczył 59 sfer, przy czym Arystoteles uważał, że sfery realnie istnieją, a zbudowane są z idealnie przezroczystego kryształu. Tak skomplikowany model świata przetrwał do czasu Ptolemeusza.

Eudoksos za największą tak zwaną elongację planety Wenus, to jest kątową odległość od Słońca, przyjmował 45°. Nie był taki daleki od prawdy, gdyż wynosi ona 45°40'. Ziemię uważał za bryłę kulistą. Jako nachylenie ekliptyki do równika niebieskiego przyjmował kąt 24°. I tu pomylił się również niewiele – w rzeczywistości równa się on 23°27'.

Za wzorem Babilończyków Eudoksos dzielił kąt pełny na 360 części, zwanych stopniami. Znany jest również z badań z dziedziny stereometrii (dział geometrii traktujący o bryłach) oraz rozważań dotyczących proporcjonalności odcinków. Niestety, pisma Eudoksosa zaginęły. Treść ich jest znana ze wzmianek następców, którzy pełną dłonią czerpali z jego dorobku.

Artur Sałek

Pl. 22-go Lipca 21/4
27-300 Lipsko

Rys. **autora**

P.S. Chciałbym także polecić książkę Marka Pąkcińskiego „Owadzia Planeta", cena 13 zł. Znajdziecie w niej opowiadania oparte na motywach antycznych oraz opowiadania fantastyczne.

Zaskakujący rezultat radzieckich badań Księżyca

Trwa analiza próbek gruntu i skał księżycowych dostarczonych na Ziemię przez radziecką automatyczną stację „Łuna 24". Jak wiadomo, „Łuna 24" dokonała lotu na trasie Ziemia – Księżyc – Ziemia w sierpniu br.

Dotychczas uczeni uważali, że formowanie skorupy Księżyca nastąpiło o wiele później niż powstanie tego ciała niebieskiego. Jednakże okazało się, że skorupa Księżyca liczy 4,5 mld lat, a więc tyle ile wynosi wiek Księżyca. Niewykluczone, że skorupa ziemska również formowała się w okresie powstawania naszej planety. Jeżeli powyższa hipoteza okazałaby się słuszna, to miałoby to olbrzymie znaczenie dla geologów poszukujących złóż bogactw naturalnych na Ziemi.

Problem ten może zostać wyjaśniony ostatecznie przy pomocy kolejnych badań Srebrnego Globu.

– Naszemu staruszkowi nikt nie dorówna!
– Zuch z niego!
Wszyscy się śmieli, wszyscy byli zadowoleni. Wszyscy chwalili dziadka.

W domu zrobiło się gorąco i duszno. Chłopiec bardzo źle się czuł, ciągle miał mdłości. Leżał z zamkniętymi oczami i słyszał, jak podpici biesiadnicy czkają, gryzą, sapią pożerając mięso Rosochatej Matki-łani, jak podsuwają sobie smaczne kąski, trącają się ubrudzonymi szklankami, składają do misy ogryzione kości.

– To nie mięso, lecz młode źrebię! – podziwiał Koketaj cmokając.
– A cóż to, głupi jesteśmy, żeby żyć w górach i nie jeść takiego mięsa? – mówił Orozkuł.

– Pewnie, po co tu żyjemy? – potakiwał Sejdachmat.
Pochwałom nie było końca. I babka, i ciotka Bekej, i Guldżamał, a nawet dziadek chwalili mięso Matki-łani. Chłopcu także podsuwali na talerzu kawałki mięsa i inne przysmaki. Ale odmawiał. Widząc, że źle się czuje, pijani wreszcie dali mu spokój.

Zaciskał zęby, myślał, że w ten sposób łatwiej powstrzyma się od wymiotów. Ale jeszcze bardziej męczyło go poczucie własnej niezaradności, to, że nie może nic zrobić tym mordercom, którzy zabili Rosochatą Matkę-łanię. I w swoim dziecięcym świętym gniewie, w rozpaczy, wymyślał różne sposoby zemsty – jak ich ukarać, zmusić, żeby zrozumieli, jakiej strasznej dopuścili się zbrodni. Ale nie potrafił wymyślić nic lepszego, niż przyzwać na pomoc Kułubeka. Tego chłopaka w żołnierskiej bluzie, który przyjechał z kierowcami po siano w tamtą burzliwą noc. On, jedyny spośród wszystkich znanych chłopcu ludzi, zdołałby pokonać Orozkuła, powiedzieć mu całą prawdę w oczy.

Na wezwanie chłopca Kułubek przypędził ciężarówką, wyskoczył z szoferki z automatem gotowym do strzału: „Gdzie oni są?" – „Tam!". Biegną we dwóch do domu Orozkuła, szarpią drzwi. „Stać! Ręce do góry!" – surowo rzuca od progu Kułubek mierząc z automatu. Wszyscy drętwieją ze strachu, nikt się nie rusza. Kawałki mięsa grzęzną im w gardłach. Z dużymi gnatami w zatłuszczonych rękach, z zatłuszczonymi policzkami i ustami, obżarci, pijani, nie mogą się nawet odezwać.

– „Ano, wstań, gadzie!" – Kułubek przystawia karabin do skroni Orozkuła. Orozkuł drży, pada Kułubekowi do nóg. „Zlituj się – jęczy – nie... nie zabijaj mnie!". Ale Kułubek jest nieubłagany: „Wychodź, gadzie! Nadszedł twój koniec!". Mocnym kopniakiem w gruby zad Orozkuła zmusza go, żeby wyszedł z domu. Wszyscy, co do jednego, przerażeni wychodzą na podwórze.

„Pod ścianę!" – rozkazuje Kułubek Orozkułowi. – Za to, że zabiłeś Rosochatą Matkę-łanię, za to, że odrąbałeś jej rogi, na których przynosiła kolebkę, czeka cię śmierć!". Orozkuł pada na ziemię. Czołga się, zawodzi, jęczy: „Nie zabijaj, przecież nawet nie mam dzieci. Jestem sam jeden na całym świecie. Nie mam ani syna, ani córki...".

Gdzie się podziała jego pewność siebie, jego pycha? Żałosny, nędzny tchórz! Takiego nawet się nie chce zabijać!

„Dobrze, nie zabijemy – mówi chłopiec do Kułubeka. – Ale niech on się stąd wynosi i nigdy tu nie wraca. Niepotrzebny nam, niech się wynosi".

Orozkuł wstaje, podciąga spodnie i ze strachu nawet nie oglądając się odchodzi – tłusty, obrzmiały, w opadających spodniach. Kułubek zatrzymuje go. „Stój! Jeszcze ostatnie słowo: nigdy nie będziesz miał dzieci. Jesteś zły, niegodziwy. Nikt cię tu nie lubi. Ani las, ani drzewo, ani nawet żadne źdźbło trawy nie lubi cię. Jesteś faszystą. Wynoś się i to na zawsze. Szybko!". Orozkuł biegnie, nie ogląda się. „Sznel, sznel!" – goni go śmiech Kułubeka, który na postrach strzela w powietrze.

Chłopiec cieszy się i triumfuje. A kiedy Orozkuł znika z oczu, Kułubek zwraca się do wszystkich stojących przy drzwiach: „Jakże mogliście żyć z takim człowiekiem? Nie wstyd wam?".

Mały poczuł ulgę. Spełnił się sprawiedliwy sąd. Tak uwierzył w swoje marzenie, że zapomniał, gdzie się znajduje, z jakiego powodu odbywa się pijaństwo w domu Orozkuła.

Wybuch śmiechu wyrwał go z tego błogiego stanu. *Otworzył oczy, zaczął się przysłuchiwać. Dziadka Momuna nie było w pokoju, widocznie gdzieś wyszedł. Kobiety sprzątały naczynia. Miały podawać herbatę. Sejdachmat coś głośno opowiadał. Wszyscy się z tego śmieli.*

Cdn

30 JONKA, JONEK i KLEKS!

TEKST I RYSUNKI: SZARLOTA PAWEL

ŚWIAT MŁODYCH

ADRES REDAKCJI ul. M... wska 24, 00-581 War... ADRES ODDZIAŁU ul. ... 40-096 Katowice

UKAZUJE SIĘ WE ... CZWARTKI I SOBOTY

REDAGUJE KOLEGIUM: Stanisław Borowiecki, ... Dąbrowski, Anna Grzybowska, Maria Jaworska, ... siewicz, Jerzy Kowalewski, JERZY MAJKA (redaktor naczelny), Wojciech Pałecki, Kazimierz Pasek, Ryszard ...czyk, Mieczysław Tendera, Barbara Tylicka, Marianna ...rzcholska.

TELEFONY:
Red. naczelny 2...
Sekr. redakcji 2...
Dział Łączności z Czytelnikami 2...

Nie zamówionych materiałów redakcja nie zwraca.

WYDAWCA – RSW „Prasa-Książka-Ruch" Młodzieżowa Agencja Wydawnicza 00-564 Warszawa, ul. Kopernika ... A Telefony: Dyrektor 28-05-73, ... dawniczy 23-35-52. Prenumerata ... wa: miesięczna 19,50 zł, kwartalna ... zł, półroczna 117 zł, roczna 234 zł ... instytucji i szkół z miast wojewódzkich i gmin prenumeratę przyjmują ... miejscowe oddziały i delegatury „Prasa-Książka-Ruch" w terminie ... listopada na rok następny. Od ... szkół, w miejscowościach, gdzie ... oddziałów i delegatur RSW „Prasa-Książka-Ruch" oraz od wszystkich prenumeratorów indywidualnych ... przyjmują wyłącznie miejscowe ... pocztowo-telekomunikacyjne ... nosze w terminie do 10 dnia ... poprzedzającego okres prenumeraty.

Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę, która jest o 50% droższa od prenumeraty krajowej, przyjmuje ... „Prasa-Książka-Ruch", Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw, ul. Towarowa 28, 00-958 Warszawa, konto PKO ... 71 w terminach dla prenumeraty krajowej. Nr indeksu 35046

Opracowanie graficzne Tadeusz Baranowski
Redakcja techniczna Anna Dąbrowska

Zam. 6627

DRUK: Zakłady Graficzne „Dom Słowa Polskiego" Warszawa

NIE ZAPOMNIJ OTO NASZ 00-581 POCZTOWY

BIAŁY STATEK

CZINGIZ AJTMATOW

BAJKA i NIEBAJKA 29

Tłumaczyła Marta Okołów-Podhorska

– Głowa go boli – bełkotała czule. – Mój maleńki. Pewno chce ci się jeść?

– Nie, nie chce mi się. Chcę się położyć.

– No to chodźmy, chodźmy, ułożę cię. Cóż tak będziesz leżał sam, samiuteńki. Przecież wszyscy będą u nas – i goście, i domowi. Mięso już gotowe. – Pociągnęła go za sobą. Kiedy znowu przechodzili koło ogniska, zza szopy ukazał się Orozkuł, rozgrzany i czerwony jak zaognione wymię. Triumfalnie rzucił koło dziadka Momuna odrąbane rogi marala. Staruszek podniósł się z miejsca.

Nie patrząc na niego Orozkuł wziął wiadro pełne wody, przechylił i oblewając się zaczął pić.

– Możesz teraz umierać – rzucił odrywając się na chwilę od picia i znowu przypadł do wiadra. Chłopiec usłyszał, jak dziadek wybełkotał:

– Dziękuję, synku, dziękuję. Teraz mi nawet nie strach umierać. No, bo jakże, to dla mnie, widać, honor i szacunek...

– Pójdę do domu – powiedział chłopiec czując w całym ciele dziwną słabość.

Ciotka nie zgodziła się.

– Po co masz tam siedzieć sam jeden? – prawie siłą zaprowadziła go do siebie i ułożyła w kącie na łóżku.

W domu Orozkuła wszystko już było przygotowane do uczty. Nagotowane, nasmażone, przyrządzone. Krzątały się tu babka i Guldżamał. Biegając wciąż pomiędzy domem i ogniskiem na podwórzu, kręciła się ciotka Bekej. W oczekiwaniu na obfite „wielkie mięso" Orozkuł i czarny duży Koketaj, półleżąc na barwnych kołdrach, wsparci o poduszki, popijali herbatę. Od razu jakoś zważnieli, poczuli się książętami. Sejdachmat nalewał im po trochu herbaty do filiżanek.

A chłopiec cichutko leżał w kącie, odrętwiały, czujny. Znowu chwyciły go dreszcze. Chciał wstać i wyjść, ale się bał, że zaraz dostanie wymiotów. Kurczowo trzymał w sobie ten kłębek, który mu ugrzązł w gardle. Bał się poruszyć.

Po chwili kobiety wywołały Sejdachmata na podwórze. Zaraz po tym ukazał się w drzwiach z ogromną emaliowaną misą pełną dymiącego mięsa. Z trudem doniósł ten ciężar i postawił przed Orozkułem i Koketajem. Kobiety wyniosły za nim jeszcze ... potrawy.

Wszyscy zaczęli się sadowić, przygotowali noże i talerze. Tymczasem Sejdachmat rozlewał wódkę do szklanek.

– Ja będę wami rządził – bełkotał kiwając na ustawione w ... butelki z wódką.

Ostatni przyszedł dziadek Momun. Staruszek wyglądał wyjątkowo, jeszcze bardziej żałośnie niż zawsze. Chciał przycupnąć gdzieś z boku, ale Koketaj wspaniałomyślnie zaproponował, żeby usiadł koło niego.

– Chodź tu, aksakał.

– Dziękuję. My tu przecież jesteśmy domowi – odmawiał Momun.

– Jesteś jednak najstarszy – nalegał Koketaj i posadził go pomiędzy sobą i Sejdachmatem. – Wypijemy, aksakał, z okazji takiego waszego sukcesu. Zabierzcie głos jako pierwszy.

Dziadek Momun chrząkał z zażenowaniem.

– Za pokój w tym domu – powiedział z wysiłkiem. – A gdzie jest pokój, tam też szczęście, moje dzieci.

– Słusznie, słusznie! – podchwycili wszyscy podnosząc szklanki.

– A wy co? Nie, tak nie można! Życzycie szczęścia zięciowi i córce, a sami nie pijecie – Koketaj robił wyrzuty zmieszanemu dziadkowi.

– No, chyba że za szczęście, bo cóż ja... – pospieszył się staruszek. Ku zdumieniu gości łyknął do dna prawie pełną szklankę wódki. I oszołomiony potrząsnął starczą głową.

– O, to rozumiem!

Ciąg dalszy na str. 7